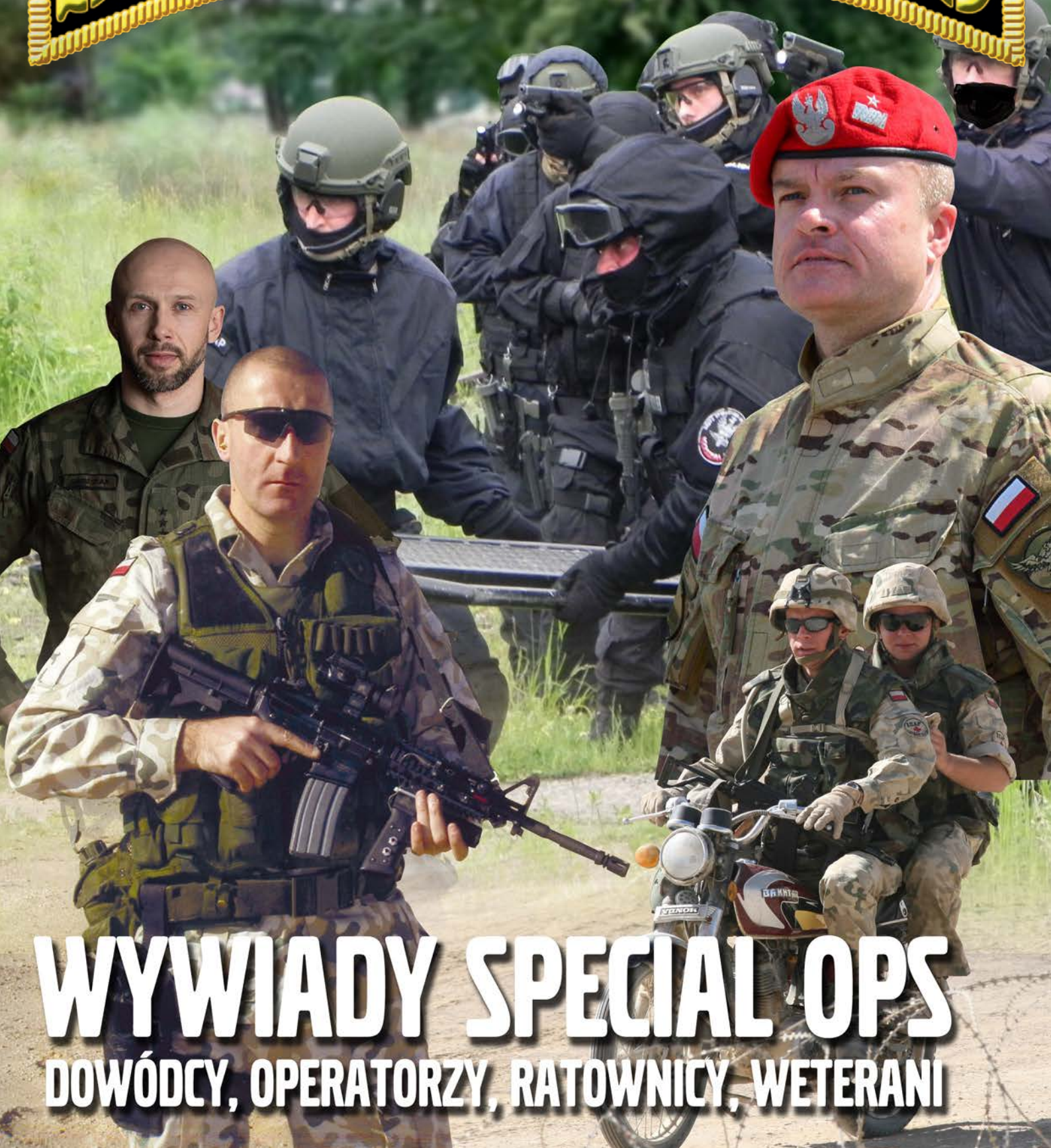


MAGAZYN LUDZI AKCJI

SPECIAL OPS



WYWIADY SPECIAL OPS
DOWÓDCY, OPERATORZY, RATOWNICY, WETERANI

TEXAR
TACTICAL GEAR

BLUZA POLOWA
02-WZ10R-CO

REKAWICE DRAGO
09-GDR-GL

PLECAK GRIZZLY
38-BGRI-BP

BUTY STINGER
08-BST-FO

www.texar.info.pl

MW
MECHANIX WEAR



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OLAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK

WYWIADY SPECIAL OPS

Spis treści

MOJE SERCE BIJE DLA SIŁ SPECJALNYCH 6
ROZMOWA Z PŁK. (REZ.) ANDRZEJEM KRUCZYŃSKI PS. „WÓDZ”

KULISY SŁUŻBY W GOI SOK 14
ROZMOWA ZE ST. INSP. DANIEŁEM SNOPOKOWSKIM – KOORDYNATOREM GRUP OPERACYJNO-INTERWENCYJNYCH Z KOMENDY GŁÓWNEJ SOK

ARYSTOKRACJI NA WOJNIE NIE MA 20
ROZMOWA Z NAVALEM

RATOWNIK NA MISJI 26
ROZMOWA Z MICHAŁEM MATRAJEM – RATOWNIKIEM CYWILNYM PEŁNIĄCYM SŁUŻBĘ W BAZIE NATO W AFGANISTANIE

**NAJWIĘCEJ WETERANÓW MAMY PO MISJACH
W IRAKU I AFGANISTANIE** 30
ROZMOWA Z PŁK. SZCZEPANEM GŁUSZCZAKIEM – DYREKTOREM CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

DOŚWIADCZENIE TO NAJLEPSZY NAUCZYCIEL 34
ROZMOWA Z MJR. (REZ.) WOJCIECHEM ZACHARKOWEM PS. „ZACHAR”

SIŁĄ NASZĄ JEST JEDNOŚĆ 42
ROZMOWA Z GEN. BRYG. TOMASZEM POŁUCHEM – KOMENDANTEM GŁÓWNYM ŻW



SPECIAL OPS
tel. 22 810 65 61
e-mail: redakcja@special-ops.pl
www.special-ops.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Tomasz Łukaszewski,
Krzysztof Mątecki
e-mail: redakcja@special-ops.pl

KOREKTA
Anna Kuziemska

SKŁAD I ŁAMANIE
Marcin Jarosz

REKLAMA I MARKETING
tel./faks 22 810 25 90, 810 28 14

DYREKTOR DS. MARKETINGU I REKLAMY
Joanna Grabek
e-mail: jgrabek@medium.media.pl
tel. 0 600 050 380

Żaneta Tafel
e-mail: ztafel@special-ops.pl
tel. +48 608 653 150

Agnieszka Szwed,
e-mail: aszwed@special-ops.pl
tel. +48 602 277 850

KOLPORTAŻ I PRENUMERATA
tel./faks 22 810 21 24

DYREKTOR DS. MARKETINGU I SPRZEDAŻY
Michał Grodzki,
e-mail: mgrodzki@medium.media.pl

SPECJALISTA DS. PRENUMERATY
Anna Sergel,
e-mail: asergel@special-ops.pl

WYDAWCA
Grupa MEDIUM
02-114 Warszawa
ul. Karczewska 18

„SPECIAL OPS - Magazyn Ludzi Akcji” znajdziesz w sieci sprzedaży prasy: Empik, Ruch, Garmond Press, Kolporter, In Medio, Relay.

FACEBOOK

Prężnie działający profil gromadzący sympatyków SPECIAL OPS

WYDANIA SPECJALNE

SPECIAL OPS EXTRA, KOMPENDIUM SPECIAL OPS, seria wydawnictw tematycznych związanych ze światem sił specjalnych

e-book

E-NEWSLETTER

Aktualności ze świata sił specjalnych, wywiady, nowości, informacje o targach



KSIĄŻKI

Beletrystyka, wspomnienia, historia – świat sił specjalnych na wyciągnięcie ręki



WWW

Portal z dostępem do wiarygodnych publikacji

CZASOPISMO

Profesjonalnie przygotowany magazyn na temat jednostek specjalnych

GADŻETY

Koszulki, kubki, karty do gry – wszystko z logo SPECIAL OPS



www.special-ops.pl



ROZMAWIAŁ: TOMASZ ŁUKASZEWSKI
ZDJĘCIA: ARCH. ANDRZEJA KRUCZYŃSKIEGO

PŁK (REZ.) ANDRZEJ „WÓDZ” KRUCZYŃSKI

BYŁY OFICER GROM, UCZESTNIK DZIAŁAŃ SPECJALNYCH I MISJI ZAGRANICZNYCH. WSZECHESTRONNIE WYSZKOLONY W ZAKRESIE OPERACJI ANTYTERRORYSTYCZNYCH ORAZ DZIAŁAŃ SIŁ SPECJALNYCH. WSPÓŁPRACOWAŁ Z CZŁOWEKAMI SŁUŻBAMI I FORMACJAMI ZAGRANICZNYMI. KIEROWAŁ DUŻYMI GRUPAMI LUDZI PODCZAS POWAŻNYCH I RYZYKOWNYCH PRZEDSIĘWZIĘĆ. OD KILKU LAT W BIZNESIE JAKO: TRENER, KIEROWNIK SZKOLEŃ, KONSULTANT, INSTRUKTOR. WSPÓŁAUTOR PODRĘCZNIKA DLA SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH „EDUKACJA DLA BEZPIECZEŃSTWA” ORAZ KSIĄŻKI „IMPREZY MASOWE. ORGANIZACJA, BEZPIECZEŃSTWO, DOBRE PRAKTYKI”. AUTOR KSIĄŻEK „72 GODZINY” ORAZ „ZIELONA DROGA”.

W 2020 roku minęło 30 lat od dnia sformowania Jednostki Wojskowej GROM. Pan był jednym z pierwszych żołnierzy, którzy pojawili się w Jednostce...

Nie byłem od samego początku. Mój numer przydzielony po przyjeździe do Jednostki to 63. Kiedy dołączyłem, to w Jednostce było już około pięćdziesięciu osób. Z moimi kolegami dołączyliśmy do JW 2305 w Warszawie, kiedy skończyliśmy Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, tzw. „Zmech”. Tam przyjechali tzw. „kupcy” i zaoferowali, że jest praca w nowo tworzonej Jednostce, o ile będziemy chcieli stanąć do przygotowanych testów sprawności fizycznej i innych egzaminów, w tym rozmowy z psychologiem, to możemy spróbować. Zgłosiło się kilkanaście osób, większość egzaminy zaliczyło i byliśmy przekonani, że zostaliśmy przyjęci do Jednostki. Okazało się jednak, że przed nami są następne testy i jeszcze jakaś Selekcja – o której nic nie wiedzieliśmy. Mnóstwo wody jeszcze upłynęło w Wiśle, zanim staliśmy się pełnoprawnymi żołnierzami Jednostki Wojskowej nr 2305.

Jak Pan wspomina swoje początki w GROM? Czy Jednostka, o której informowano, że jest to jednostka specjalna tworzona na nowy wzór tego typu formacji zachodnich, spełniła Pana oczekiwania, czy pojawiło się rozczarowanie?

Wszystko było dla mnie nowe. Moje doświadczenia związane z wojskiem nie były zbyt bogate, to tylko cztery lata szkoły oficerskiej, w tym półroczna praktyka dowódcza, gdzie trafiłem do Szczecina do batalionu szkolnego. Myślałem, że tam będzie coś się działo dużo ciekawszego i pożytecznego dla przyszłego oficera, a wróciłem zdegustowany i rozczarowany, z taką myślą, że jak tak ma wyglądać wojsko, to ja siebie tam nie widzę. Postanowiłem, że zrobię wszystko, żeby z takiego typowego MON-u się wyrwać, żeby nie trafić do zielonego garnizonu. Teoretycznie były jakieś możliwości, ale trzeba było mieć tzw. „plecy”. Kogoś znajomego gdzieś wysoko postawionego. Ja takich znajomości nie miałem. Można było trafić np. do Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Kiedy zjawili się w szkole Ci „kupcy”, byłem zachwycony i wiedziałem, że nieważne jak będzie, ale gorzej być nie może niż tam, gdzie mógłbym trafić. Trafiłem do Warszawy, a tam zupełnie inny świat, inni ludzie, inne nastawienie. Taka atmosfera pracy zespołowej, przyjaźń, wspieranie się i niesamowity sprzęt. Na początku dostałem cały asortyment: od butów, ubrania, po pagery. Dla mnie był to kosmos. Dla młodego

MOJE SERCE BIJE DLA SIŁ SPECJALNYCH

człowieka było to coś niesamowitego. Marzyłem o tym, aby mieszkać w dużym mieście i trafiłem do Warszawy. Nie chciałem służyć w tzw. „zielonych garnizonach”, te wiejskie klimaty znałem. Marzyłem, żeby pomieszkać w dużym mieście, poczuć smak takiego miasta. Teraz jakbym miał wybierać, to chętnie wróciłbym na starość do takiego „zielonego garnizonu”.

Jednostka Wojskowa GROM na początku istnienia była przyporządkowana do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Czy od początku organizowana była jako jednostka wojskowa, czy bardziej w kierunku jednostki specjalnej o profilu policyjnym?

Z nazwy była Jednostką Wojskową 2305, tak więc stanowiło to pewne zaprzeczenie dla usytuowania jednostki w strukturach tego MSW. My się w ogóle tym nie przejmowaliśmy. Byliśmy zachwyceni tym, co robimy, jakim sprzętem dysponujemy. Co chwila przyjeżdżali nowi tzw. kooperanci. Na początku byli to koledzy ze Stanów Zjednoczonych, oni wiedli prym. Po kilku latach byli to koledzy z Wielkiej Brytanii, z legendarnego SAS-u. Mieliśmy zatem dwie szkoły: amerykańską i brytyjską, które bardzo się różniły, ale dla nas wszystko było nowe. Dla nas było najmniej ważne, czy byliśmy w MSW czy MON. Skupialiśmy się na treningu, na programie szkolenia, na przeróbce pewnego materiału. Ta czapa z naszej perspektywy była nieistotna, ale później okazało się, że jest to bardzo ważne. Będąc w strukturach MSW bardzo ogranicza się pole manewru tego typu jednostek i po latach, jak najbardziej i słusznie została podjęta decyzja, że jeśli chcemy działać szeroko i być pełnoprawnym członkiem elity sił specjalnych, tak jak to ma miejsce w tej chwili, to nie ma innej opcji niż przejść w struktury MON. To było też niebezpieczne i groźne, bo istniało ryzyko, że zostaniemy włożeni do jednego worka z wszystkimi innymi jednostkami. GROM zawsze borykała się z określonymi problemami, a jego dowódcy musieli podejmować różne, często ryzykowne działania dla rozwoju Jednostki. Gdyby tego nie robili, GROM nie byłby dzisiaj w miejscu, w którym się znajduje. Nie byłoby sukcesów.

Na początku działania GROM-u miały charakter antyterrorystyczny, wsparcia działań policyjnych. Kiedy zaczęły się działania, które można nazwać realizacjami wojskowych sił specjalnych?

Nie jest tajemnicą, że część osób, które trafiały do GROM-u, przechodziło z jednostek policyjnych. Z natury rzeczy oni mieli już swoje doświadczenia i taktykę działania typowo policyjną. Zdarzała się wymiana zdań, czy jest to lepsze i korzystniejsze dla nas, przecież jesteśmy specjalistami. Przyjęliśmy taką opcję zero, która zakładała, że musimy wyjść wszyscy z jednego poziomu, wyrównać ten poziom i robić to, do czego jesteśmy szkoleni. Pierwsze akcje rzeczywiście były takie typowo policyjne. To była walka z mafią



ze wschodu, zatrzymywanie przestępców w Warszawie, typowo policyjne akcje, do których też często nie byliśmy przygotowani. Często musieliśmy działać w ubraniach cywilnych, a nie oficjalnie w mundurach. Część rzeczy była naciągana do granic możliwości. Nie jest tajemnicą, że w pewnym momencie chroniliśmy Pana Macierewicza na sławnym Żoliborzu. Nie tylko my chroniliśmy, ale także inne służby go chroniły. Dobrze, że nie doszło tam do wymiany ognia, bo żadna ze stron nie wiedziała o drugiej. Możemy mówić o dużym szczęściu, że nie było wtedy żadnych ofiar śmiertelnych przez tzw. „friedlyfire”, przez nieuwagę i brak przepływu informacji.

Pierwsza misja realizowana na Haiti pokazała nam, że tak jak jest do tej pory, to nie powinno być. Dotychczas, była to taka, można powiedzieć, zabawa z lepszym sprzętem. Fajnie to wyglądało, ale jak zaczęliśmy brać pod lupę doświadczenia Brytyjczyków, rasowych specjalsów, jak wygląda taka typowa misja, działanie w odosobnieniu, gdzie trzeba wyjść na kilka dni, dotrzeć i wycofać się, to zaczęliśmy się przyglądać naszym możliwościom w tym kierunku. Wtedy okazało się, że to jest dopiero początek drogi. Trzeba wszystko zmodyfikować, dokupić sprzęt i różnej innej broni o zróżnicowanym kalibrze, aby było z czego wybierać. Zawsze mówię, że jak rasowy komandos dostaje zadanie, to jest on odpowiednio wyszkolony, z dużym bagażem doświadczenia, świetnie przygotowany fizycznie i mentalnie do wykonania zadania i co chyba jest najważniejsze, wie, co będzie mu potrzebne w akcji. Sam sobie dobiera sprzęt do tej akcji. Ale żeby to robić, to musi mieć z czego wybierać. Magazyn broni musi być doskonale wyposażony w różne rodzaje broni oraz inny sprzęt specjalistyczny. Musi mieć z czego wybierać. Jak mam tylko Kałasznikowa, to wybór jest żaden, z tym karabinkiem biegałem cały czas. Jest to dobry karabinek, ale nie do każdej roboty.

Czy doświadczenia zdobyte podczas realizacji policyjnych na terenie kraju przełożyły się później w działaniach Jednostki podczas wykonywanych misji?

Pierwsze działania na misjach były związane z ochroną VIP-ów. Tak było na Haiti, później we Wschodniej Sławonii, gdzie chroniliśmy szefa misji OBWE, później było Kosowo, gdzie pojechaliśmy w ubraniach cywilnych i także chroniliśmy szefa misji. To było nasze główne zadanie. Każdy trening, każda umiejętność, nabyte doświadczenia, zostaną kiedyś spożytkowane. Nikt nigdy nie powiedział, że to był czas zmarnowany. Był on jak najbardziej cenny. Z perspektywy minionych lat, można się teraz śmiać z dokonania na Haiti, czy akcji w Pęcicach, działań podczas „nocy teczek”, ale nie byłoby późniejszych sukcesów, gdyby nie te doświadczenia. Trzeba powoli wchodzić na wyższy pułap. Gdybyśmy na początku lat dziewięćdziesiątych od razu zostali rzućni na głęboką wodę, mogłoby to się różnie potoczyć...

Przykładowo, na Haiti było pokojowe wejście sił militarnych, ale był także rozważany wariant wejścia siłowego. Gdyby się dwie strony nie dogadały, to



samoloty nie lądowałyby na lotnisku w stolicy tego kraju, wówczas trzeba byłoby się dostać tam zupełnie inaczej. Mielismy wiele szczęścia, że pozwolono nam dochodzić do pełnej perfekcji w działaniu sił specjalnych nie gwałtownie, ale powoli i ucząc się od najlepszych, mieć czas na zebranie doświadczeń i wyciąganie wniosków z każdego działania. W siłach specjalnych nie skupiamy się na sukcesach i porażkach, szybko o nich zapominamy. Kiedy jest porażka, to wyciągamy wnioski, ale przede wszystkim patrzymy na to, co będzie jutro i w kolejnych dniach. To jest najważniejsze.

Jakie było pierwsze działanie bojowe o charakterze militarnym?

Każda misja czymś się zapisała. Nawet ochrona VIP-a musiała być perfekcyjnie zrealizowana. Dla laika mogłoby się to kojarzyć z przyjemnym i miłym czasem, ale jest zupełnie inaczej. Przy ochronie VIP-a praktycznie może się wydarzyć wszystko i na to wszystko cały Zespół Ochronny powinien być perfekcyjnie przygotowany. To niby prosta sprawa, ale jak się wejdzie w szczegóły, to trzeba przygotować mnóstwo rzeczy. Kiedy mamy czas, to można to zrobić bardziej dokładnie, planować jak np. Secret Service, której funkcjonariusze przyjeżdżają dwa miesiące przed planowaną wizytą, wszystko oglądają, szczegółowo planują rozmieszczenie każdego agenta, wszystko rozkładają na atomy. Kiedy mamy na to czas, to korzystamy z tych doświadczeń.

Pierwsze działania bojowe były w Afganistanie i Iraku. Tam była już prawdziwa wojna. Trzeba było się wkomponować w realia tego, co tam się dzieje. Dopasować się ze swoim sprzętem i mentalnie do pewnych wytycznych. Jeżeli jesteśmy na misji, to my nie działamy tak, jak u nas, tylko zgodnie z wytycznymi misji. Te pierwsze działania, operacje na morzu czy te sławne operacje MIO, wydaje się, że nie były skomplikowane, a było zupełnie inaczej. To było tak niebezpieczne, pomijam różne niespodzianki,

które mogły być na obiektach pływających, ale w środku nocy trzeba było się przesiąść z MARK5 na tzw. miękkie łódzie, wejść na obiekt pływający, on się też poruszał, czasem spadały drabinki czy inny sprzęt, wykonać zadanie, zrobić dokumentację zdjęciową, sprawdzić wszystko, zawrócić obiekt pływający i z powrotem wrócić na naszą łódź miękką i przesiąść się na MARK5. To, że nic złego się nie wydarzyło, było cudem.

Jak wyglądały przygotowania do operacji zajęcia platformy wiertniczej na wodach Zatoki Perskiej poprzedzającej wojnę koalicji z Irakiem?

Mielismy świadomość tego, że wojna będzie. Nie wysła się zaopatrzenia, tysięcy ludzi i sprzętu, jeżeli nie chce się zacząć działań militarnych. Wiedzieliśmy, że będzie to kwestia dni. Jako żołnierze sił specjalnych spokojnie czekaliśmy, bo wiedzieliśmy, że w takiej sytuacji dostaniemy zadanie. I tak pewnego poranka, bez jakiegokolwiek zapowiedzi, na kilka nacię dni przed wybuchem wojny pojawia się admirał Harwarda. Jestem bardzo zdziwiony. Zapraszam gości do mojego prowizorycznego gabinetu – to mały pokój o wymiarach trzy na trzy metry zrobiony z płyty wiórowej. Dopytuję także na spotkanie mojego oficera łącznikowego Karola – siły muszą być wyrównane. Admirałowi towarzyszył nieodłączny adiutant. Siadamy razem z kubkami kawy w rękach. Harward rzuca parę żartów, po chwili poważnie: „Mam ważną sprawę. Niebawem zacznie się wojna. Jest też zadanie dla GROM-u. Chodzi o atak na jedną z platform przeładunkowych na wodach Zatoki Perskiej. Co pan pułkownik na to? Odpowiadam, że na taki rozkaz czekaliśmy bardzo długo. Po to tu jesteśmy. Po to tyle lat tak ciężko trenowaliśmy. Admirał podziękował za potwierdzenie gotowości do działania, zaznaczył także, że nie spodziewał się innej odpowiedzi. Wieczorem otrzymałem pierwszy pakiet informacji o naszym celu. Okazało się, że jest to „wielka krowa” – wielka platforma przeładunkowa na wodach Zatoki Perskiej. Zaczęliśmy się przygotowywać, jak do każdego innego zadania. Wiemy, co trzeba zrobić. Mamy trochę materiałów. Zorganizowaliśmy szybko lot, żeby zrobić rekonesans. Koledzy Amerykanie wsparli nas środkami lotniczymi i nowoczesnymi aparatami, dzięki którym mogliśmy zrobić dokładne zdjęcia z dużej odległości tak, aby nie przykuwać niczyjej uwagi. Analizowaliśmy te rzeczy, które dostaliśmy. Materiałów, które otrzymaliśmy, było za dużo, a wtedy nie mieliśmy jeszcze takich rasowych ludzi do ich selekcji. Zrobiliśmy makietę celu w skali 1:1. Wytoczyliśmy ją, wyrysowaliśmy na piachu obok naszej bazy na pustyni. Spokojnie trenowaliśmy różne warianty, które mogły się zdarzyć. Nam akurat wyszedł wariant przerzutu za pomocą szybkich łodzi MARK5, a później pontonami do celu. Gdyby stan morza był za wysoki, to musielibyśmy użyć śmigłowców. Wówczas moglibyśmy zabrać mniej ludzi i mniej sprzętu, co byłoby dla nas niekorzystne. Kiedy mieliśmy przygotowane różne warianty, to czekaliśmy na sygnał do działania. Tak to wygląda w siłach specjalnych. Koncentrujemy się na zadaniu, myślimy o tym, co będzie później, gromadzimy sprzęt, opuszczamy bazę główną i przenosimy się do bazy wypadowej. Tam też robimy kolejne przygotowania, bo nie wiemy, kiedy wrócimy i co musimy mieć przy sobie. Oczywiście były zapewnienia, że wszystko dostaniemy, ale bazując na wcześniejszych doświadczeniach, według zasady „umiesz liczyć, licz na siebie”, to co mogliśmy od razu ze sobą zabrać, to zabraliśmy. Okazało się, że bardzo dobrze, że to zrobiliśmy.

Przed rozpoczęciem akcji sam admirał niespodziewanie pojawił się na nabrzeżu, wygłosił płomienną, motywującą przemowę do wypływających na akcję bojową żołnierzy. Już po akcji, kilka dni po rozpoczęciu wojny, gdy wojowaliśmy gdzieś w Iraku w rejonie Basry, admirał osobiście popatygował się, by odwiedzić nasze prowizoryczne obozowisko i podziękować za nasze działania na platformie oraz w porcie Umm Kasr.

Jak operatorzy Wojsk Specjalnych przygotowują się psychicznie do takich zadań?

To bardzo indywidualna sprawa. Duża rola dowódców, którzy muszą świecić przykładem i którzy muszą udźwignąć ten ciężar. Nie mogą w żaden sposób pokazać, że coś jest trudne czy nie do zrobienia. Ten zespół ludzi, który miałem, nie był superdoświadczony. Część z nich stanowili ludzie, którzy w 2009 roku przechodzą jeszcze kurs podstawowy, który organizowałem. Przez parę miesięcy pracowaliśmy razem. To byli naprawdę młodzi ludzie. W Jednostce byli trzy lata, a już pojechali na swoją pierwszą misję i zostali rzućni na bardzo głęboką wodę. Dlatego było takie niepewne, czy udźwigną ten ciężar. Jednego nawet musiałem odesłać do Polski, bo nie stanął na wysokości zadania. To jest mądrość dowódcy, aby wiedział, na kogo postawić, a w sytuacji skrajnej z kogo zrezygnować. Przed samą akcją żołnierze musieli mieć też trochę czasu dla siebie, aby sobie pewne rzeczy w głowie poukładać, zadzwonić do domu. Musiał być taki czas na mentalne przygotowanie się. Wówczas działało się też dużo rzeczy, które nie powinny się dziać. Różne meldunki, które spędzały mi sen z powiek. Musiałem zaangażować parę osób, do różnych zadań, zbędnych w tym momencie. Można to było zrobić później i w bardziej spokojnym momencie. Byłem naciskany przez różne osoby, co i w jaki sposób powinienem zrobić. To było niepotrzebne. Jak już nastąpiła akcja, byliśmy skoncentrowani, robiliśmy swoje. Do bazy na ląd wróciliśmy po kilku dniach od wybuchu wojny. W tym czasie byliśmy w permanentnym ruchu i rzućni na zagrożone odcinki zgodnie z naszą specyfiką działań, sprzętem, którym dysponowaliśmy i wyszkoleniem. Okazało się, że byliśmy pilnie poszukiwani przez niektóre osoby. Pojawiały się pretensje, że nie raportujemy i nie kontaktujemy się. Nie robiliśmy tego, bo byliśmy przecież podczas wykonywania zadania. Była wojna, trudno się kontaktować, bo możliwości kontaktu były też w dużym stopniu ograniczone. Po tych kilku dniach przyszedł moment na odreagowanie. Rasowemu żołnierzowi sił specjalnych nie trzeba mówić, co on ma robić. On wie doskonale, że musi szybko obsłużyć broń, bo środowisko pracy na zasolonej wodzie źle wpływa na sprzęt. Trzeba szybko zjeść, jeżeli w ogóle jest okazja, przespać się, bo może się okazać, że kiedy nas znów gdzieś rzuca, to będziemy działali przez kolejne kilkadziesiąt godzin. Pewne rzeczy dzieją się automatycznie. Wynika to z mądrości operatorów, licznych treningów oraz doświadczenia.

Jak wyglądała Pana ścieżka kariery w JW GROM?

Po dostaniu się do Jednostki, trafiłem do tzw. wsparcia, gdzie zabezpieczałem działania innych osób. Później został stworzony drugi zespół i ruszyliśmy z naszym kursem podstawowym. Taki kurs podstawowy trwa około 12 miesięcy. Później jest szkolenie specjalistyczne, ludzi dzieli się na pewne specjalności. Ja byłem bardzo dobry w strzelaniu z broni długiej. W „Zmchu” z moim Kałasznikowem robiłem cuda. Zostałem wytypowany, aby przejść kurs przeznaczony dla strzelca wyborowego. Nie była to dla mnie żadna kara, było to dla mnie bardzo fajne. Poznałem nową specyfikę i przeszedłem kolejne szkolenie. Taki kurs też trwał prawie rok. Trzeba było przejść „cztery pory roku”, bo zupełnie inaczej strzela się latem, zimą czy jesienią. W tamtym czasie zimy w Polsce były, jak prawdziwe zimy ze śniegiem i mrozem. Później praca w Zespołach Bojowych. Uczestniczyłem w pierwszych misjach na Haiti. Miałem okazję być w Delcie i SASie, przejść liczne treningi na naszych poligonach i za granicą. Po kilku latach pracy w tzw. szturmie, miałem okazję pracować w „szkoleniówce”, czyli byłem na etacie w Wydziale Szkolenia Bojowego i zajmowałem się tam szkoleniem strzelców wyborowych. Mogę pochwalić się tym, że parę zastępów takich strzelców



wyborowych wyszło spod mojej ręki i są na rynku. Obecnie to uczniowie przerosli mistrza, bo są rasowymi snajperami i mimo że niektórzy są już w cywilu, osiągają ciągle niesamowity poziom. W GROM nie zawsze było kolorowo i fantastycznie. Były też okresy nieciekawe. Było już kilkadziesiąt dowódców. Można rozmawiać, kto był lepszy, kto gorszy, ale pamiętam przy najmniej dwa momenty, kiedy byłem prawie spakowany i gotowy do odejścia z Jednostki. Realia były trudne. Nie było pieniędzy na amunicję i wyglądało tak, jak w Policji, że jechało się na strzelnicę z pięcioma nabojami. Byłem w szoku i zadawałem sobie pytanie, jak to jest możliwe, że mamy operować w takich warunkach. Uznałem, że trzeba coś zmienić. Rozmawiałem nawet ze Strażą Graniczną, gdzie miałem zostać głównym specjalistą ds. ochrony granicy wschodniej. Później znowu wszystko się zmieniło. Wrócił gen. Petelicki i część ludzi będących w cywilu ściągnął do Jednostki. Po pewnym czasie natrąpiły kolejne zawirowania. W atmosferze skandalu odwołano Generała Petelickiego. Później nadeszła kolejna fala odejść. Wtedy dostałem propozycję objęcia funkcji dowódcy Zespołu Bojowego „A”, gdzie parę lat wcześniej pracowałem. Po konsultacjach z paroma osobami zgodziłem się. Udało mi się parę osób namówić do pozostania w Zespole, parę osób odesłać.

Dużo zmieniły wydarzenia z 11 września 2001 roku. Wtedy było wiadomo, że jednostki specjalne będą potrzebne i trzeba je szkolić, że muszą mieć możliwości wyjazdowe i odpowiedni sprzęt. Po tych wydarzeniach wiedzieliśmy, że zadań niebawem będzie dużo. Kiedy przyszedłem do Zespołu, zapewniałem ludzi, że będą brali udział w misjach w kraju i za granicą. „Wykrakałem”. W pewnym momencie zrobiło się tego za dużo i tak jest do dnia dzisiejszego.





HAITI 1994 R.

Jak wyglądała Selekcja do JW 2305 i szkolenie w Jednostce? Czy wraz ze zdobywaniem nowych doświadczeń coś się zmieniło?

Na pewno trochę się zmienia, ewoluuje. Ale takie rzeczy, jak sprawność fizyczna, testy psychologiczne i osławiona selekcja gdzieś w Bieszczadach, były i będą na pierwszym miejscu. Killudniowy wyjazd w góry był, jest i na pewno będzie. To są sprawdzone wzorce przeniesione żywcem ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Powiedziano nam na początku bardzo konkretnie, że jak chcemy robić jednostkę specjalną, to musimy jasno określić zasady Selekcji do niej. Jak to odpuścimy, to nie będziemy żadną jednostką specjalną. Nikt tego rzeczywiście nie odpuszcza i te standardy są utrzymywane do dnia dzisiejszego. To jest bardzo ważne. Nie jest wcale łatwo dostać się do jednostki specjalnej. Robi się obecnie wiele kursów przygotowawczych, szuka kandydatów w różnych miejscach, bo trzeba otwarcie powiedzieć, że obecnie nie ma z kogo wybierać. Różne jednostki starają się pozyskiwać ludzi z „cywila”, bo w służbach mundurowych nie ma już chętnych, a ci, którzy są, nie spełniają określonych kryteriów. Zrobiono kilka takich naborów, ale okazało się, że nie spełnia to oczekiwań, bo osoby, które się zgłaszały, były zupełnie nieprzygotowani mentalnie i fizycznie. Obecnie szkolenie to całkowity kosmos, zupełnie inny świat. Jak odchodziłem z Jednostki w 2006 roku, byłem przekonany, że osiągnięty wtedy poziom był naprawdę kosmiczny poprzez liczne doświadczenia i przeprowadzone akcje bojowe w różnych zakątkach świata. Strzelcy wyborowi robili cuda. Dostaliśmy nowe karabinki, z których można było skutecznie prowadzić ogień na trzy tysiące metrów. Jeszcze półtora roku wcześniej to było poza naszym zasięgiem. Odchodząc z Jednostki, myślałem, że już za dużo nie da się z tego wycisnąć, ale to, co się dzieje teraz... Boję się spytać kolegów: co robią, jak robią i czym robią? Wszystko zmieniło się w kilkudziesięciu procentach. Dlaczego to się zmienia? Ta druga strona też nie śpi, nie traci czasu, analizuje, obserwuje, wyciąga wnioski. Jednostka specjalna musi być równoprawnym partnerem do nich – terrorystów. Oni mają tę przewagę, że decydują, kiedy i jak chcą kogoś zaskoczyć. My możemy starać się pewne rzeczy przewidzieć, zawczasu odpowiedzieć, ale nie zawsze to się udaje.

Niedawno DKWS zrobiło akcję „Powrót do służby”. Czy to dobry pomysł, bo opinie na temat tego pomysłu w środowisku są podzielone?

Mówi się, że „dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi”, ale biorąc pod uwagę problemy, które mamy, to trzeba szukać rozwiązań. Myślę, że z tego punktu widzenia to krok w dobrym kierunku. Nie bałbym się powrotów, ale trzeba tutaj być precyzyjnym. Nie mówimy o powrocie moim, jak jestem w cywili 14 lat i jestem już za stary. Mogę obecnie wspierać bardziej

mentalnie. Opowiedzieć, co było kiedyś, motywować do działania. Jak ktoś odszedł i jest w cywili rok czy dwa lata, to nie ma jeszcze takiej przepaści. On ciągle jeszcze jest na bieżąco. Takie osoby, jeżeliby się udało zachęcić, to powinny wrócić. Niekoniecznie muszą wracać do „szturmu”. Można zaangażować ich do ośrodka szkolenia, który powstaje (Centrum Szkolenia Wojsk Specjalnych – przyp. red.), gdzie nie jest tajemnicą, że wolnych wakatów jest od groma. Może dobrze byłoby pozyskać ludzi z cywila po 2-3 latach przerwy, z doświadczeniem, tzw. „misjonarzy”. Nie ma tutaj co krytykować, trzeba próbować działać. Jeżeli udało się zrekrutować nawet z pięćdziesięciu byłych komandosów, to będzie ruch w dobrą stronę.



Jak zmieniła się sytuacja sprzętowa Jednostki? Czego ciągle brakuje najbardziej?

Przychodząc do Jednostki, dostaliśmy taki „pakiet startowy komandosa”. To był pistolet Browning, to było MP5, MP5sds z tłumikiem. Inne pistolety też były z tłumikami. Na MP5 montowane były już latarki, pojawiły się pierwsze znaczniki, pojawiły się noktowizory. Już wtedy to był zupełnie inny świat niż w zwykłej jednostce wojskowej. Pojawiły się strzelby gładkolufowe, pojawiła się broń snajperska, karabinki Remington 700, później doszły jeszcze McMillany. Już na początek dostaliśmy fajne „narzędzia pracy” i to z najwyższej półki. Trudno, aby na samym początku dysponować lepszym sprzętem, bo trzeba było posiadać umiejętności i radzić sobie z tym, co dostaliśmy. Już jako dowódca Zespołu Bojowego miałem takie sytuacje, że mimo że mieliśmy już duży arsenał broni, to słyszeliśmy, że brakuje nam jeszcze konkretnego uzbrojenia. Każdego roku dochodziła nowa broń, pojawiało się Minimi, karabiny o większym zasięgu, później F1 kaliber 12,7, później Cheytac. Pojawiły się granatniki, kamizelki. Nie było roku, żeby coś ekstra nie doszło. Rozwijaliśmy się i dlatego dostawaliśmy nowy sprzęt. Później mieliśmy swoje komórki, które określały, co nam jest potrzebne. To my zaczęliśmy wychodzić z inicjatywą, co powinniśmy kupić. Pojawiły się samochody, na nich broń większego kalibru. Później powstał problem, jak to wszystko spakować. Standardem był przerzut tzw. spaletyzowany. Jak polecieliśmy do SAS-u, z takimi słynnymi czarnymi torbami, które kochaliśmy i zaczęto je przywozić do nas wózkami, to doszliśmy do wniosku, że był to pierwszy i ostatni raz, gdzie w taki sposób ze sprzętem polecieliśmy. W tej chwili są specjalne skrzynie odporne na kurz i wodę.

Czy można zatem uznać, że obecnie GROM jest na poziomie wyposażenia, jak najlepsze jednostki specjalne na świecie?

Bez dwóch zdań. Już za moich czasów, jak lecieliśmy do SAS-u z naszym sprzętem, to patrzyli na nas z zazdrością, że mamy taki „wypasiony”. Nie mamy się czego wstydzić. Nam oczywiście brakuje środków przerzutu, o śmigłowcach nie wspomnę, o samolotach transportowych też nie wspo-

2368



TECHNOLOGIE:



mnę. Kiedy lecieliśmy na misję na Haiti, to przerzut był samolotem cywilnym. Jakbyśmy mieli dobre układy z Amerykanami, to zapewne by nam użyczyli samolotu, ale wtedy dopiero aspirowaliśmy do miana jednostki specjalnej i dopiero marzyliśmy o tym, aby wstąpić do NATO. Dużo rzeczy nam jeszcze brakuje. Środki przerzutu to nie tylko sam sprzęt, ale także cała otoczką, miejsce, gdzie ten sprzęt będzie stacjonował. Środki przerzutu dla jednostek specjalnych muszą być stale dostępne, bo czasem wymagana jest szybka reakcja. Kiedy rozważano formę przerzutu żołnierzy do Afganistanu, brano pod uwagę nawet podróż koleją. To jak w czasach II wojny światowej. Tak być nie może.

Czy były jakieś działania operacyjne, które z racji przypadkowego zdarzenia można uznać za komiczne?

Na pewno były. Każdy operator ma takich przygód kilka, jak nie kilkanaście. Nie zapomnę, jak na wodach Zatoki Perskiej, jesteśmy jeszcze parę dni przed wybuchem wojny, zmieniamy naszych kolegów, wypływamy wieczorem, przesiadamy się na „marki”, płyniemy dwie godziny, tam czekamy na cel, śmigłowce patrolują obszar. Pojawia się cel, który atakujemy. Nie zapomnę takiej jednej nocy, rozpętała się straszna burza. Podpływamy do naszego celu, próbujemy go oświetlić, mamy noktowizję, nad celem wisi helikopter ze wsparciem snajperów. Ja patrzę, a na tej wodzie pojawia się czterometrowa „łupinka” z jakimś żaglem i na jej pokładzie dziadzius przeżony tym, gdzie on się znalazł. Procedury były takie, że musieliśmy go zawrócić. Nie było mowy o żadnej pomocy. Jak on tam się znalazł, to już nigdy się nie dowiem. Scena, jak z filmu science fiction. To było po prostu niemożliwe. Później miałem duże wyrzuty sumienia, że go ze sobą jednak nie zabraliśmy i nie odstawiliśmy na jakiś brzeg.

Druga taka rzecz, to trzeba uważać, kiedy i gdzie się mówi po polsku. Czasami jesteśmy dość mocno dosadni. Było mnóstwo sytuacji, gdzie na jakieś pustyni, nikogo nie ma i padają jakieś dosadne słowa na temat osoby, którą widzimy, a okazuje się, że ona rozumie i mówi po polsku. Zatrzymujemy kogoś w Iraku i okazuje się, że generał z „talii kart” doskonale mówi po polsku, bo u nas studiował. Trzeba naprawdę uważać. Z moich doświadczeń, Polacy są w każdym zakątku świata. Czasami trafiają się w takich miejscach, gdzie wydaje się to niemożliwe. Jakbym postawił na to pieniądze, że tutaj ich nie spotkam, to mógłbym dużo przegrać.

Jaka jest przyszłość Wojsk Specjalnych? Jaka jest przyszłość GROM-u?

Wojska Specjalne kojarzą się z GROM-em. Nie byłoby GROM-u, nie byłoby Wojsk Specjalnych. Ale nie byłoby GROM-u, gdyby nie postać gen. Petelickiego. Był prawdziwym wizjonerem, miał pomysł i potrafił go zrealizować. Od kilku lat siły specjalne mają silny wiatr w żagle, bo są po prostu potrzebne i niezbędne. Obecnie kiedy „gasimy pożar” to za pośrednictwem sił specjalnych, bo są mobilne, bo są samowystarczalne, bo mogą podejmować duże ryzyko. To też pewnego rodzaju narzędzie polityków. Dobrze mieć siły specjalne, bo działają jak straszak na potencjalnego agresora, który dwa razy się zastanowi, czy wykonać ruch narażając się na odwet z ich wykorzystaniem. To taki aspekt psychologiczny. Tutaj zawsze za przykład podaję legendarny SAS. Jeżeli komukolwiek przyszłoby do głowy, żeby zrobić cokolwiek złego Wielkiej Brytanii, to kilka razy się nad tym zastanowi. Wojska Specjalne będą się rozwijały, one będą potrzebowały ludzi, bo w siłach specjalnych pracuje się kilka lat, maksymalnie kilkanaście. One muszą być dofinansowane. Oby nie były wykorzystywane tak, jak do tej pory. Żeby żołnierze mogli też złapać trochę oddechu, mogli gdzieś pomieszkać ze swoimi rodzinami. Jest potrzebny złoty środek w tym zakresie. Musimy pamiętać o bardzo ważnej kwestii. Siły specjalne nie mogą być używane przeciwko każdemu i w każdej sytuacji. Powinny być „asem” w talii kart dowodzącej-



go. Są atutem, który zapewni zwycięstwo w konfrontacji z przeciwnikiem podczas dobrze zaplanowanej operacji. Nie są i nie mogą być produktem masowym. Są elitą, która jest w czołówce światowych jednostek specjalnych. Są narzędziem precyzyjnego uderzenia i rażenia przeciwnika w starannie zaplanowanej operacji kierującej się zasadą „chirurgicznego cięcia”. Istnienie sił specjalnych wiąże się też z pewnymi ograniczeniami. Straty osobowe w wojskach specjalnych są trudne do zrekompensowania. Nie można tego dokonać w krótkim czasie. Dlatego żołnierze sił specjalnych powinni być wysyłani do operacji o wysokim znaczeniu strategicznym lub ważnym dla bezpieczeństwa kraju i jego obywateli. Nie powinno się używać tych sił w sytuacjach, gdy założony cel mogą osiągnąć żołnierze wojsk konwencjonalnych. Siły specjalne to przede wszystkim służący w nich ludzie. Dobrze wyszkoleni, dowodzeni w mądry sposób i wykorzystani wyłącznie w sytuacjach, w których można wykorzystać całe spektrum ich potencjału. Polskie siły specjalne to broń, która umiejętnie wykorzystana, zapewni wysoki poziom bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego państwa i jego obywatelom w każdym zakątku świata. Jest jeszcze w Polsce taka siła, która może osiągać rzeczy niemożliwe dla innych. Warto o tym pamiętać i mieć świadomość tego, czym dysponujemy lub czym możemy dysponować w przyszłości, jeśli dobrze wykorzystamy potencjał drzemący w naszych siłach specjalnych. Siły specjalne, a zwłaszcza Jednostka Woskowa GROM, to ludzie, to praca w zespole oraz niesamowita wola walki. Jeśli nie ma tych trzech ważnych elementów, nie ma mowy o sukcesie.

Co należy życzyć obecnym i przyszłym żołnierzom JW GROM na kolejne 30 lat?

Na pewno takiego żołnierskiego szczęścia. Mam kilku przyjaciół, którzy twierdzą, że jest limit szczęścia do wykorzystania, ale bez wątpienia szczęście jest niesamowicie ważne i przydatne. Jak ten limit szczęścia się wyczerpie, to trzeba nadrobić taktyką i pracą zespołową. W tej chwili GROM jest marką. 30 lat, jak na jednostki specjalne, to wcale nie za dużo czasu. SAS nas przerasta ileś tam razy, DELTA też. Mają dużo większe doświadczenie, ale u nich też nie było zawsze pięknie i kolorowo. Mieli spektakularne akcje, ale były także spektakularne porażki. Takie jest życie sił specjalnych.

Życzę koleżankom i kolegom następnych przynajmniej 30 lat w podobnej kondycji, żeby szli tylko do przodu i się rozwijali, żeby pieniądze były wystarczające i od czasu do czasu realizowali misje, które ich będą motywować i pozwolą się sprawdzić. Na początku my biegaliśmy po poligonie, gdzie poklepywano nas po plecach i zachwalano. Wiedzieliśmy, że jest to trochę takie naciągane. Chcieliśmy realnych akcji, aby się sprawdzić w boju i to nastąpiło. Trzymam kciuki, a moje serce bije dla sił specjalnych. Jak będę mógł jakoś wesprzeć, to na pewno takie wsparcie we mnie znajdą.

SPECIAL OPS

Teraz prenumerata SPECIAL OPS taniej!

60 zł 70 zł

+ książka do wyboru za 19,90 zł

*wysyłkę pocztą przy przedpłacie 10 zł.



39,90 zł

Victor Constantine Cioke
Kompania
SŁONI

Inspirująca opowieść o nieprawdopodobnym bohaterze i zaskakujących, które uratowały mu życie w czasie II wojny światowej



45,00 zł



39,90 zł



39,90 zł

39,90 zł

ZAMÓW:



bok@ksiegarniamilitarna.com.pl
tel. 22 512 60 60

www.ksiegarniamilitarna.com.pl

ROZMAWIAŁ: KRZYSZTOF MATECKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM PRYWATNE DANIELA SNOPKOWSKIEGO



KULISY SŁUŻBY W GOI SOK

O TYM, JAK WYGLĄDA SZKOLENIE FUNKCJONARIUSZY GOI SOK I O ICH NIEUJAWNIANYCH NIGDZIE DO TEJ PORY ZADANIACH I SUKCESACH, „SPECIAL OPS” ROZMAWIA ZE ST. INSP. DANIELEM SNOPKOWSKIM – KOORDYNATOREM GRUP OPERACYJNO-INTERWENCYJNYCH Z KOMENDY GŁÓWNEJ STRAŻY OCHRONY KOLEI W WARSZAWIE, WYDZIAŁU DS. OPERACYJNO-PREWENCYJNYCH I BEZPIECZEŃSTWA.

Od jak dawna zajmujesz się koordynacją działań Grup Operacyjno-Interwencyjnych Straży Ochrony Kolei?

Jeżeli chodzi o koordynację na terenie całego kraju, to minęło już 12 lat. Wcześniej dwa lata koordynowałem działania GOI na Śląsku, a jeszcze wcześniej, przez 5 lat byłem dowódcą jednej z trzech grup katowickich.

Jak to się stało, że zostałeś dowódcą takiej grupy, byłeś wtedy chyba bardzo młody?

Do Straży Ochrony Kolei przyjąłem się zaraz po zakończeniu zasadniczej służby wojskowej, którą odbyłem w 18. Batalionie Desantowo-Szturmowym w Bielsku-Białej. Szybko odnalazłem się w nowych dla mnie realiach,

co zwróciło na mnie uwagę ówczesnego Komendanta Regionalnego SOK w Katowicach. Miałem sporo zatrzymań sprawców, głównie przestępstw popełnionych na obszarze kolejowym i to zarówno w służbie, jak i w czasie wolnym.

Jak wyglądało Wasze szkolenie na poligonie w Wędrzynie?

W grudniu 2001 roku rozpoczęły się szkolenia Grup Operacyjno-Interwencyjnych (GOI) na poligonie w Wędrzynie. Wcześniej w Komendzie Głównej SOK utworzono nowe samodzielne stanowisko koordynatora GOI. Każdy poligon trwał dwa intensywne tygodnie. Zaczynaliśmy rano od zaprawy o godz. 6:15, później śniadanie i zajęcia do kolacji z przerwą na obiad. Zajęcia toczyły się w różnych miejscach. W Ośrodku Szkolenia Poligonowego Nowy Mur ćwiczyliśmy czarną taktykę, czyli wejścia do pomieszczeń i zatrzymywanie uzbrojonych przestępców, zatrzymywanie samochodów z uzbrojonymi przestępcami. Duży nacisk instruktorzy stawiali na odpowiednią pracę z bronią palną. Musieliśmy się pozbyć wszystkich złych nawyków. Ćwiczyliśmy techniki wysokościowe, tj. zjazdy na linach z budynku, wejścia przez okna czy zjazdy głową w dół, aby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pomieszczeniach, kolejną amerykańską do szybkiej ewakuacji z budynku.

Techniki interwencji w taborze kolejowym. Ale wszystko zaczęło się od długiego na około 400 metrów toru przeszkód. Tor zaczynał się od wskoczenia przez okno na parter budynku, przebiegnięcia pomieszczeniami i wyskoczenia drugim oknem, następnie po przebiegnięciu kilkunastu metrów wbiegało się po częściowo wyburzonym murze na wysokość około 5 metrów (mur był szeroki na cegłę) i przebiegało do drabinki, którą biorąc między nogi zjeżdżało się pod skosem na mniejszy murek i po zeskoczeniu z niego biegnęło się z powrotem do muru, w którym znajdowały się trzy otwory (każdy na innej wysokości), tymi otworami trzeba było się wspinać na mur przechodząc je tzw. węzłem, tj. raz z prawej, raz z lewej strony muru. Po wejściu na mur biegnęło się po nim, schodząc po częściowo wyburzonej części w dół i do drabinki, po której zbiegało się w dół. Kolejna była ścianka do nauki technik wysokościowych. Przez okno na wysokości około dwóch metrów wskakiwało się na parter, z parteru drabinką na pierwsze piętro. Z pierwszego piętra po balkonach na drugie piętro i drabinką ponownie, z tym że na sam dół. I znowu bieg z przeskakiwaniem mniejszych przeszkód do ostatniej prostej, na której znajdował się lekko pochyły mur dwumetrowy, mur dwumetrowy prosty, pięciometrowa siatka, ogrodzenie trzymetrowe z kolcami, między którymi trzeba było zrobić wymyk, mur z drutem kolczastym, labirynt –

który był osobną konkurencją i powiem o nim później, równoważnia, kolejny mur 2,5-metrowy, rów z rozwieszoną nad nim liną, rów z drabinką w formie mostka, drabina na wysokość około 7 metrów i zejście tyłem po rurze pod skosem z uchwytyami. Biegaliśmy po tym torze bardzo często.

Szkolenia miały pomóc wybrać do GOI SOK najlepszych funkcjonariuszy?

Cale szkolenie było swego rodzaju selekcją, przez którą przeszło 200 funkcjonariuszy. Każdy funkcjonariusz GOI musiał je zaliczyć. Z przeszkolonych ludzi z czasem utworzona została nieformalna Specjalna Grupa Interwencyjna, w której skład wszedłem i ja.

Możesz zdradzić więcej szczegółów waszych szkoleń na poligonie w Wędrzynie?

Poligony te trwały jeszcze przez cały 2002 rok – udało mi się uczestniczyć w nich cztery razy. W lipcu 2002 roku na poligonie Samodzielne Pododdziały Antyterrorystyczne Policji (obecnie SPKP) miały obóz śmigłowcowy. Udało się nam wtedy załapać na zjazd ze śmigłowca. Pilot chyba wiedział, że ma nas przewieźć ekstremalnie, bo wchodził ostro w skrzęty, tak że do niczego nieprzypięci mieliśmy przed sobą, a raczej pod sobą otwarte drzwi śmigłowca. Zjeżdżaliśmy z wysokości blisko 50 m, bo tyle miała lina, której koniec spoczywał na ziemi.

Pierwsze dwa dni tego zgrupowania na śniadanie, obiad i kolację do kantyny chodziliśmy pieszo po 5 km w jedną stronę. Dawalo to 30 km marszu dziennie. Upał był niesamowity. Drugiego dnia po bieganiu na torze przeszkód instruktor zapytał nas, kto chciałby się dziś wykąpać w jeziorze. Odpowiedzieliśmy wtedy, że wszyscy, a on krzyknął: „Za mną biegiem!” i biegliśmy 5 km drogą czołgową nad jezioro. Tam jak wskoczyłem do wody, to z głowy mi dosłownie parowało. Ale to było wspaniałe uczucie. Dowódca grupy z Warszawy o pseudonimie Joda, jak zobaczył wodę, to postanowił, że jezioro opłynie dookoła i wypłynął. Nie było go dwie godziny. Widzieliśmy tylko na wodzie unoszącą się i znikającą pod wodą jego głowę. Kondycję miał niesamowitą. Na służbę każdego dnia przyjeżdżał 18 km na rowerze, niezależnie pory roku i warunków pogodowych. Niestety, z tamtej naszej starej gwardii nie ma już połowy chłopaków. Joda odszedł do Policji, Kaszubek do ABW, gdzie był instruktorem w Centrum Szkolenia. Niewiele jest w Polsce formacji, gdzie nie trafiłby któryś z nas. Powodem odejść był głównie brak emerytur mundurowych.

Rozumieliśmy każde odejście i choć z żalem żegnaliśmy każdego z braci – wiedzieliśmy, że są tam naszymi wizytówkami.

Jaki element szkolenia i sytuacja z nim związana szczególnie zapadła ci w pamięć?

W lipcu poza torem przeszkód mieliśmy do pokonania labirynt. W labiryncie było tak ciemno, że nie było widać kompletnie nic. Bywało, że ktoś do niego wchodził i wychodził tym samym wejściem, ponieważ nie znalazł otworu w ścianie w pierwszym pomieszczeniu. Okopywało się delikatnie ściany butem i kolanem trzymając ręce w gardzie przed sobą, aby nie wybić sobie zębów. Wejściem do drugiego pomieszczenia był otwór w ścianie na pewnej wysokości. Najważniejsze było trzymać się jednej ze ścian do końca labiryntu. Po drodze znajdowały się przeszkody wodne, równoważnie, na łańcuchach wisiały kukły przypominające ludzi lub duże kawały rozkładającego się mięsa, co dawało niesamowity odr. W tle słychać było wybuchy, wystrzały i ujadanie psów. Labirynt również pokonywany był na czas. Pamiętam „dziadka” z grupy w Koszalinie. Wyszedł z labiryntu z wybitym barkiem. Wszyscy się wystraszyli, ponieważ wypadków było dużo i każdy kolejny zgłoszony mógł spowodować przerwanie dalszych szkoleń na poligonie. „Dziadek” pojechał do szpitala, a my po obiedzie graliśmy w piłkę na boisku. Ze szpitala „Dziadek”



wrócił już uśmiechnięty i zapytał, czy może grać z nami. Nazwaliśmy go „Samonaprawiacz”.

Jak wyglądały Wasze szkolenia w późniejszych latach?

W latach 2003 do 2007 uczestniczyliśmy głównie w szkoleniach na zaproszenie innych formacji.

- ćwiczenia antyterrorystyczne w pociągach (szturm na pociąg piętrowy) w Kędzierzynie-Koźlu prowadzone przez Sekcję Antyterrorystyczną Policji z Opola,
- ćwiczenia antyterrorystyczne „Postępowanie jednostek specjalnych podczas działań likwidujących stan zagrożenia atakami terroru w komunikacji powietrznej, drogowej i kolejowej” przeprowadzone przez pluton specjalny Straży Granicznej ze Śląskiego Oddziału Straży Granicznej z Raciborza.
- szturm na pociąg – ćwiczenia zorganizowane i przeprowadzone przez SPAP Wrocław przy współpracy z byłym antyterrorystą Marcinem Koskiem,
- cykl ćwiczeń na poligonie Pstrąże koło Żagania:
 - rozwiązywanie sytuacji zakładniczych w działaniach szturmowych,
 - szturm na teatr,
 - szturm na szkołę.

Wszystkie te ćwiczenia prowadzone w tamtym czasie przez SPAP Wrocław były z użyciem ostrej amunicji. Cele rozstawiane były na kulochwytach, a wejście po zakładników odbywało się pod ogniem zaporowym, gdzie nad głowami świsnęły kule. W ćwiczeniach brali udział operatorzy niemal wszystkich polskich formacji specjalnych.

W tych latach i późniejszych wyszkoliliśmy swoją kadrę instruktorską i z czasem to my zapraszaliśmy i prowadziliśmy zajęcia, w których uczestniczyły inne formacje. Uczyliśmy się od najlepszych i tworzyliśmy własną taktykę szturm na pociąg, jak i interwencji w pociągach.

Po co Wam szkolenia tego typu, przecież nie jesteście grupami kontrterrorystycznymi?

W obecnym systemie prawnym do sytuacji zakładniczej w pociągu, gdyby taka się wydarzyła, nikt nie wezwie funkcjonariuszy Grupy Operacyjno-Interwencyjnej SOK. Ale co w sytuacji, kiedy Ci funkcjonariusze w trakcie swoich działań sami natrafiają na taką sytuację? Muszą wiedzieć, jak się zachować, by nie tylko wyjść z tego cało, ale by ratować życie i zdrowie innych ludzi. Ponadto od lat czekamy na ustawę, która rozszerzy nasze uprawnienia. Projekt ustawy był dwa razy projektem poselskim (który przeszedł przez pierwsze czytanie, a później został przyblokowany w łasce marszałkowskiej) i raz projektem rządowym (który również stanął w miejscu). Sta-

ramy się być z każdym rokiem lepsi. W 2018 roku Komenda Główna Straży Ochrony Kolei zakupiła modułową strzelnicę taktyczną dla Ośrodka Szkolenia funkcjonariuszy SOK w Zbąszyniu. Na terenie tego Ośrodka odbywają się tygodniowe szkolenia doskonalące dla funkcjonariuszy GOI. Celem tych szkoleń jest wyrównanie poziomu wyszkolenia pomiędzy wszystkimi GOI w kraju.

Jaka to strzelnica?

Jest to jedna z najnowocześniejszych w Europie modułowych strzelnic taktycznych. Oś strzelnicy jest długa na 25 m, znajdują się na niej 4 stanowiska strzeleckie z tarczociągami. Na strzelnicy można strzelać zarówno z broni krótkiej, jak i maszynowej.

Można układać scenariusze różnych treningów strzeleckich z wykorzystaniem stroboskopów, dymu, przesłoni, dźwięku i różnych możliwości zaciemnienia.

Co możesz nam więcej powiedzieć o konwojach Świeżego Paliwa Jądrowego, które prowadziliście?

Konwoje Świeżego Paliwa Jądrowego odbywały się przez 10 lat, tj. od 2001 do 2010 roku. Grupy Operacyjno-Interwencyjne SOK konwojowały pociągi przez cały kraj do granicy z Czechami. W sumie na blisko 20 pociągów, których przejazd zabezpieczyliśmy i można powiedzieć, że większych incydentów nie było. Przy pierwszym konwoju gdzieś nastąpił przeciek informacji do mediów i na trasie przejazdu ustawiły się demonstracje „zielonych”. Jednak pociąg zmienił trasę na alternatywną i przejechał bez uwag. Chyba w 2005 roku pociąg zatrzymał się przed idącym po torze pijanym młodym mężczyzną. Chłopaki wyskoczyli w pełnym wyposażeniu czyli: w hełmach, goglach, kominiarkach, czarnych mundurach i kamizelkach kuloodpornych z bronią krótką i pistoletami maszynowymi. Krzyknęli: „Straż Ochrony Kolei. Stój, bo strzelam!”. Mężczyzna ubrany był na jasno. Była godzina 3:00 nad ranem. Noc z soboty na niedzielę (prawdopodobnie wracał z jakiejś dyskoteki). Przetarł oczy rękami i wystraszony krzyknął: „O k...a ninja!”, następnie zgodnie z wydanym poleceniem udał się biegiem we wskazanym kierunku, czyli przez łąny zboża, jak najdalej od torowiska. Zobaczyć jego zdziwienie – bezcenne. Później wywoziliśmy jeszcze z kraju Wypalone Paliwo Jądrowe, które decyzją kongresu Stanów Zjednoczonych Ameryki należało wywieźć z krajów byłego Bloku Wschodniego ze względu na zagrożenie terrorystyczne. Amerykanie sfinansowali jego wywieżenie do Rosji, która zobowiązała się, że nie będzie go używać do celów militarnych. Polska pomimo że nie ma elektrowni jądrowych, posiada na swoim terenie jeden reaktor doświadczalny, z którego odpady promieniotwórcze opuściły wtedy nasz kraj.

Nie słyszałem o tym.

To świadczy tylko o tym, że potrafimy dochować tajemnicy, a konwoje przeprowadzone były w sposób profesjonalny.

Jak wyglądała „węglowa wojna” na Śląsku?

Od 2000 do 2005 roku kradzieże węgla z pociągów towarowych głównie PKP Cargo przybierały coraz większe rozmiary zarówno pod względem ilości usypów, jak i ilości wysypanego węgla. Na Śląsku powstawały coraz to nowe grupy przestępcze zajmujące się tym procederem. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży skradzionego węgla żyły tysiące ludzi. Rekordowe usypy w tym czasie to rok 2005 lub 2004, dokładnie już nie pamiętam. Ruda Śląska Chebzie usyp z jednego pociągu 500 ton węgla, natomiast w stacji Sosnowiec Maczki z jednego pociągu 465 ton węgla. W Siemianowicach Śląskich czy w Katowicach Szopienicach często zdarzały się usypy 200-tonowe. Kopalni Ruda Czarny Las zaczęła grozić upadłość, ponieważ nie była w stanie wywieźć ze swoich składów wydobytego węgla, każdy

z transportów był zatrzymywany i wymagał później odsypania i udrożnienia torowiska. Z tym procederem na Śląsku walczyła cała Straż Ochrony Kolei, w tym 7. oddział GOI wspierany funkcjonariuszami GOI z różnych rejonów kraju. Każda z 5–6-osobowych grup roczne ujmowała od kilkudziesięciu do nawet 150 osób. Sprawy w sądach toczyły się tak często, że w miesiącu bywałem tam nawet po osiem razy. Często wezwania przychodziły do różnych sądów na ten sam dzień, a nawet na tę samą godzinę.

Wraz ze wzrostem liczby kradzieży w latach 2002–2005 dochodziło do wzrostu brutalizacji sprawców, a co za tym idzie czynnych napaści na patrole Straży Ochrony Kolei. W Katowicach Szopienicach niemal co miesiąc patrole oddawały strzały ostrzegawcze w powietrze, kiedy leciał w ich stronę grad kolejowego tłucznia. W 2003 roku patrol SOK z Gliwic na stacji Gliwice Sośnica został zaatakowany przez grupę kilkunastu mężczyzn kradnących węgiel. Jeden z funkcjonariuszy dostał kamieniem w głowę i zalał się krwią. Złodzieje nadal atakowali i byli w bliskiej odległości, kiedy po strzale ostrzegawczym i okrzyku „Straż Ochrony Kolei! Stój, bo strzelam!” jeden z nich został trafiony w udo. Nie zatrzymało to pozostałych. Drugi złodziej został trafiony w dwa kolana.

Później worek się już rozwiązał i było coraz więcej użyć broni. „Mietek” chciał zatrzymać samochód ze złodziejami, przeładował broń, a Ci wjechali mu autem w nogi, kiedy przełatywał przez bok maski samochodu, nacisnął spust pistoletu, a wystrzelona kula przeszła przez boczną szybę pojazdu i wyszła przednią. Złodziej tak się wystraszył, że zatrzymał samochód i został ujęty.

Na Śląsk z uwagi na trudną sytuację związaną z masowymi kradzieżami węgla z transportów zaczęły przyjeżdżać grupy operacyjno-interwencyjne z terenu kraju. W Katowicach Szopienicach doszło do czynnej napaści na grupę z Łodzi. Mężczyźni mieli na głowach założone kominiarki, a jeden z nich usiłował uderzyć funkcjonariusza długim drągim. Strzały ostrzegawcze i okrzyki nie przyniosły skutku. Sprawcy nadal atakowali grupę. Wtedy jeden z funkcjonariuszy użył broni palnej, strzelając mężczyźnie z drągim w nogę. Kula przebiła mu piszczel, a jego koledzy jak na starych

wojennych filmach wzięli go pod ręce i ewakuowali się z nim do familoka. Od tego zdarzenia minęło sześć dni i ponownie doszło do czynnej napaści na patrol, w wyniku której jeden ze złodziei został postrzelony w łydke. Takich wydarzeń było bardzo wiele. Na szlaku Panewniki – Radoszów strzelałem do usiłujących mnie rozjechać dwóch samochodów. Chłopak z mojej grupy strzelał do rotwailera puszczanego na nas przez uciekającego złodzieja. Były próby odbicia ujętych przez nas sprawców kradzieży. Napaści z niebezpiecznymi przedmiotami, takimi jak siekiery, kije bejsbolowe i co tylko grupy przestępcze miały w danej chwili pod ręką. Dlatego ten okres my nazywaliśmy „wojną węglową”. Prasa w tym czasie pisała o „węglowej mafii”, ale dla nas to byli zwykli złodzieje. Mafią już bardziej można było nazwać działających w tym czasie w pociągach kieszonkowców.

No właśnie, a co z kieszonkowcami na dworcach i w pociągach?

Właściwie od początku mojej służby w Straży Ochrony Kolei najbardziej interesowali mnie kieszonkowcy. Interwencje moje w stosunku do nich były dość częste zarówno w służbie, jak i w czasie wolnym. W Katowicach na dworcu w porze dziennej po peronach biegało ich nawet piętnastu. Zatrzymywaliśmy ich (bo do 2003 r. funkcjonariusz SOK miał prawo do zatrzymania osoby, dopiero nowelizacja ustawy o transporcie zmieniła ten zapis na ujęcie) na gorącym uczynku, po każdym zatrzymaniu w stosunku do mnie padały groźby co zawsze zgłaszałem, a kieszonkowcy dostawali kolejne zarzuty. W pociągach nocnych sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, bo o ile kieszonkowcy dzienni wpadali na gorącym uczynku, to nocne grupy działały od kilkudziesięciu lat właściwie bezkarnie. Zmieniło się to dopiero od 2007 roku. Wcześniej nie miałem możliwości kadrowych, by zagrozić grupom





nocnych kieszonkowców, a dużo służbowego czasu zabierała mam „węglowa wojna”. W roku 2007 koordynowałem już działania 7 śląskich GOI. W działaniach od samego początku zawsze brałem udział osobiście. Zebrana wiedza i analiza wydarzeń pozwoliły na zaproszenie dziennikarzy TVN24. Działania doprowadziły do rozbicia w pociągu międzynarodowym „Silesia” nocnej grupy kieszonkowców. Ujęliśmy na gorącym uczynku 5 kieszonkowców, w tym herszta tej grupy. Złodzieje okradli czterech Hiszpanów i jedną Irlandkę. Po raz pierwszy do ujęcia kieszonkowców zostali użyli funkcjonariusze GOI „na czarno”. Poza obserwacją po cywilnemu w wagonach pociągu. Kilkunastu funkcjonariuszy obstawiało peron stacji Trzebinia, na który mieli zamiar wysiąść z pociągu kieszonkowcy. Zaskoczenie złodziei było ogromne. Reportaż był tak dobry, że poza wersją dla TVN24 powstał bardziej rozszerzony materiał dla TVN Uwaga. Kieszonkowcy zostali tymczasowo aresztowani, a później skazani na 18 miesięcy bezwzględnego pozbawienia wolności. Wielu z nich nigdy wcześniej nie było karanych, choć kradli w pociągach po 30 lat. Później dostosowaliśmy taktykę działania do taktyki grup kieszonkowców i zaczęli oni wpadać bardzo często. Wielu z nich, tych słabszych psychicznie, wycofywało się z „branży”. Herszt jednej z grup został taksówkarzem, jeden z kieszonkowców poszedł do pracy na kopalnię, kolejny został kierowcą autobusu, następny wrócił na wieś w rodzinne strony. W 2008 roku zostałem awansowany na Koordynatora GOI w Komendzie Głównej Straży Ochrony Kolei w Warszawie. Organizowane przeze mnie działania objęły pociągi i dworce na terenie całego kraju. Do tej pory ujęliśmy niemal wszystkie grupy kieszonkowców działających w pociągach czy na dworcach. Niektórych nawet po kilka razy. Złodzieje przestali być bezkarni i często trafiali na odsiadki. Każde ujęcie, nawet gdy mnie tam nie było, identyfikowali z moją osobą. Dochodziło znowu do grózb, z tym że padały one z ust coraz niebezpieczniejszych ludzi. Po groźbach gangstera związanego z grupą nowosądecką Komenda Wojewódzka Policji w Katowicach zaproponowała mi i mojej rodzinie ochronę podobną jak w przypadku świadka koronnego. Na to się nie zgodziłem, wybrałem inny, najmniej uciążliwy dla nas wariant. Obecnie poza Grupami Operacyjno-Interwencyjnymi SOK tylko w Komendzie Stołecznej Policji jest Wydział, który w Warszawie zwalcza kieszonkowców. W Polsce zostały tylko dwa Komisariaty Kolejowe Policji w Warszawie i we Wrocławiu. Na kolei jesteśmy najskuteczniejszą siłą, która może ograniczać liczbę kradzieży i skutecznie zwalczać ten proceder.

Kieszonkowcy twierdzą, że policja w Szwecji czy w Szwajcarii działa tak jak my. Wtapiamy się w tłum, zmieniamy swój wygląd. Nasza taktyka działania jest niemal identyczna jak najlepszych grup kieszonkowców, dlatego pomimo że lata lecą, a twarze nasze są im znane, nie potrafią nas namierzyć i wciąż wpadają. Nie pokazuję swojej twarzy tylko dlatego, że nie każdy złodziej w tym kraju, który się mnie obawia, mnie zna. W ubiegłym roku

w Gdańsku ujmowałem kieszonkowca z Słupska. Gdy powiedziałem, że służę w Komendzie Głównej Straży Ochrony Kolei w Warszawie, zapytał mnie: „Pan Snopkowski?”. Podobnie było w Poznaniu. Przy ujęciu jeden z kieszonkowców powiedział do mnie „Miło mi poznać legendę”. Wiele jednostek policji zwraca się do mnie o pomoc w identyfikacji sprawców kradzieży kieszonkowych. Przez lata poznałem z nich ponad 700 osób i nie ma miesiąca, bym nie poznawał kolejnych.



Czy częściej działacie w umundurowaniu służbowym, czy po cywilnemu?

Częściej działamy po cywilnemu. W pociągach i na dworcach tylko w taki sposób można skutecznie walczyć z kieszonkowcami. Trzeba wyglądać i zachowywać się jak zwykły podróżny. Tam, gdzie kradzieże występują w obszarze zurbanizowanym, tylko po cywilnemu można przejść pozostając niezauważonym przez czujki. Inaczej jest z kradzieżami infrastruktury kolejowej czy sieci trakcyjnej, do których dochodzi głównie nocą przez zorganizowane grupy przestępcze. Tam teren jest oddalony od skupisk ludzi. Dużo lepiej się leży w lesie w umundurowaniu służbowym i prowadzi obserwację. Termowizja i noktowizja doskonale się przy tym sprawdzają. W pełnym wyposażeniu, czyli na czarno, działaliśmy w 2016 roku zabezpieczając przejazdy pielgrzymów na Światowe Dni Młodzieży. Posiadać wyposażenie i odpowiednie uzbrojenie to jedno, ale najważniejsze są umiejętności, które staramy się nieustannie podnosić. Funkcjonariusze GOI SOK sami dokonują rozpoznania i realizacji.

Czego Wam brakuje?

Funkcjonariusze GOI SOK często prowadzą swoje rozpoznanie i na jego podstawie później przeprowadzają realizację w wyniku, ujmując sprawców. Brakuje nam własnej ustawy, która zwiększyłaby nasze uprawnienia. Dla mnie najważniejszy jest zapis o czynnościach operacyjno-rozpoznawczych, choć w ograniczonym i dostosowanym dla nas zakresie.

A emerytura mundurowa?

Bardzo wielu świetnie wyszkolonych i przygotowanych przez nas funkcjonariuszy ze względu na jej brak opuściło formację i przeszło do innych służb.

Jak zwykły Kowalski może się dostać do GOI SOK?

Musi najpierw zostać funkcjonariuszem Straży Ochrony Kolei. Zwrócić na siebie uwagę kierownictwa, a w szczególności dowódcy GOI i uzyskać akceptację całego zespołu. Najważniejsze są relacje międzyludzkie. Kolejnym etapem są testy sprawnościowe i oświadczenie woli ze zgodą na pełną dyspozycyjność.

Dziękuję za rozmowę.

SPECIAL OPS

INCOLT Euro

Szkolenia specjalistyczne

tel. + 48 600 055 555

www.incolt.pl

KURSY PODNOSZĄCE KWALIFIKACJE ZAWODOWE FINANSOWANE W RAMACH REKONWERSJI MON

KURSY PO KTÓRYCH UZYSKASZ POZWOLENIE NA BROŃ

PO UKOŃCZONYCH KURSACH W FIRMIE INCOLT DOKUMENTY WYDAJĄ ORGANIZACJE WYMNIENIONE W USTAWIE O BRONI I AMUNICJI DO NADAWANIA UPRAWNIEN W STRZELECTWIE

WAŻNE

Po kursie w firmie INCOLT uzyskasz
**OFICJALNE NADANIE UPRAWNIEN POTWIERDZONE
LEGITYMACJĄ INSTRUKTORA STRZELECTWA
WYDANĄ PRZEZ POLSKI ZWIĄZEK STRZELECTWA SPORTOWEGO.**

KURS

INSTRUKTOR SPORTU STRZELECKIEGO PZSS

TRENINGI PROWADZĄ TRENERZY KADRY NARODOWEJ

KURS WEEKENDOWY

z rozszerzeniem o kurs

**INSTRUKTOR STRZELAŃ BOJOWYCH
INSTRUKTORZY JEDNOSTEK SPECJALNYCH**

prowadzą

**ZAAWANSOWANE SZKOLENIE TAKTYCZNO-STRZELECKIE
oraz MEDYCYNĘ POLA WALKI /RANY POSTRZAŁOWE/**

Termin I: od 31.07.2021 do 12.09.2021 r.

Termin II: od 04.09.2021 do 31.10.2021 r.

KURS

**PROWADZĄCY STRZELANIE
/KIEROWNIK STRZELANIA/**

Termin I: 31.07.2021 oraz 07-08.08.2021 r.

Termin II: 4-5.09.2021 oraz 12.09.2021 r.


TRENINGI STRZELECKIE REALIZUJEMY NA NAJWIĘKSZEJ STRZELNICY CYWILNEJ W KRAJU

zapewnia to ogromne możliwości i niespotykane warunki w zakresie prowadzenia strzelań bojowych, dynamicznych, sportowych i długodystansowych na osiach strzeleckich 500 m, 300 m, 100 m, 50 m, 25 m. Wały boczne wysokości ok 3.5 m. Możliwość strzelania w 3 kierunkach.

W ZWIĄZKU Z ZAGROŻENIEM EPIDEMIOLOGICZNYM DBAMY O BEZPIECZEŃSTWO KURSANTÓW
WYKŁADY

Aula konferencyjna 200 m² każdorazowo ozonowana i odkażana przed szkoleniem.

INCOLT webinar

Posiadamy na swoim serwerze INCOLT firmowy webinar. Możliwe szkolenie on line w formie telekonferencji na żywo.

ROZMAWIAŁ: TOMASZ ŁUKASZEWSKI
ZDJĘCIA: ARCH. NAVALA

ARYSTOKRACJI NA WOJNIE NIE MA

O SŁUŻBIE W GROM-IE, MISJACH, KSIĄŻKACH I BRONI, CZYLI „SPECIAL OPS” W ROZMOWIE Z NAVALEM.

Podczas MSPO 2020 usłyszałem fajną tezę, że ponieważ ostatnio ukazuje się sporo książek autorstwa byłych operatorów GROM, to w jednostce musiała działać jakaś tajna sekcja literacka. Wiadomo, że każdy ma inną motywację do pisania. Jaka jest Twoja?

Najprostsza odpowiedź, jaka może być – Czytelnicy. Dla samego siebie bym nie pisał. Gdyby nie ich opinia, dobry odbiór z rynku, to nie powstałyby kolejne książki, a opinie na temat moich są pozytywne. Kiedy spotykam się z Czytelnikami, często słyszę, że kiedy ktoś czyta moją książkę, to nim jeszcze skończy, ma ochotę do mnie napisać z pytaniem: „Naval, kiedy będzie kolejna?”. To jest trochę zabawne, bo najwięcej takich pytań jest zaraz w dniu lub kilka dni po premierze. Jak ktoś przeczyta moją książkę, to od razu pyta: „Kiedy będzie następna?”. Żeby spełnić te oczekiwania, musiała powstać seria, a nie jedna książka.

Czy pisanie książek to był pomysł Navala na życie po GROM-ie?

Może na początku warto zapytać, skąd w ogóle wzięło się u mnie samo pisanie? W czasach kiedy nie było jeszcze Internetu, wyjechaliśmy pierwszy raz na misję na wody Zatoki Perskiej i do Kuwejtu. Rozpakowując się w naszych kwaterach, patrzyliśmy, ile każdy z nas za-

brał ze sobą książek. Pamiętam taką scenę, że chodziliśmy po pokoiach w hangarze, gdzie byliśmy zakwaterowani, i każdy miał ich wyłożonych kilka, kilkanaście. Liczba książek, które czytali żołnierze GROM w wolnym czasie, była naprawdę spora. Ja odkryłem wtedy Sergiusza Piaseckiego. Ktoś miał jego „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”, prawdziwy bestseller. Po przeczytaniu tej i kolejnych jego książek doszedłem do takiego etapu, że byłem zły na autora, że zmarł w 1964 roku i wszystkiego nie zdążył opisać. Sergiusz Piasecki opisywał swoje życie, które my teraz chłonimy, to był okres międzywojenny – czas okupacji – czas jego pracy dla Podziemnego Państwa Polskiego i opis wielu akcji, w których brał udział. Kiedy wyjeżdżałem na szkolenie do Belize w 2006 roku, tak sobie pomyślałem, że operacji, które mógłbym opisać, też mam za sobą bardzo wiele. Wtedy jeszcze nie byłem pewny, czy mam talent i czy w ogóle będzie można o tym pisać. Lubiłem przyrodę, patrzeć na programy o dżungli, a wyjazd do Belize – do miejsca, które jest twoim marzeniem i widziałeś je dotychczas tylko w programach Discovery, a teraz masz je na żywo – spowodował, że podczas pobytu tam co wieczór prowadziłem bardzo skrupulatnie swój pamiętnik. Wyjeżdżając w 2010 roku na misję do Afganistanu, zabrałem ze sobą te notatki i będąc już na miejscu, układałem sobie pierwszą książkę, bawiąc się swoimi wspomnieniami z pobytu na szkoleniu w Belize. Odchodząc na emeryturę w 2012 roku, praktycznie miałem gotową książkę. Wtedy jeszcze nie było żadnej książki o Jednostce Wojskowej GROM. Kiedy wydałem swoją, to pojawiła się jeszcze na rynku książka kolegi z jednostki „Trzyście lat w JW GROM”. Nie biję się tutaj o pierwszeństwo, bo to nie ma żadnego znaczenia, była też książka techniczna o GROM-ie: jak powstała jednostka, jakie ma uzbrojenie itp. Są to publikacje, które dla mnie, jako osoby, która zna to wszystko od środka, nie stanowiły dużego zainteresowania czytelniczego. „Przetwać Belize” to przygoda, przedstawiona w zabawny sposób, fajna historia o facetach, którzy robią swoją robotę z pasją. To prawdziwa historia, z prawdziwymi bohaterami i o prawdziwych wydarzeniach, które miały tam miejsce.

A dlaczego powstały kolejne książki?

Kiedy spotykałem się z czytelnikami, to zadawali mi dużą liczbę pytań, np. „Jak to się stało, że młody chłopak, gdzieś tam z Raciborza, dostał się do takiej jednostki?”. Nie chciałem o tym ciągle mówić, ale nowi czytelnicy nieustannie się dopytywali. To spowodowało, że napisałem „Ostatnich gryzą psy”, a więc opisałem tę swoją drogę do GROM-u. Chciałem tą książką sprawić, żeby dzieciaki z domów dziecka czy z poprawczaków wiedziały, że są dobrym „materiałem ludzkim”, tylko jak w przypadku tych ostatnich, zboczyli nie w tym kierunku, w którym trzeba, ale wszystko to jest do naprawienia. Dlatego właśnie powstało „Ostatnich gryzą psy”. Ta książka jest już dojrzała, wiedziałem, że po niej będzie musiała być kolejna, bo będą kolejne pytania: „A co po tym, jak się dostałeś do GROM-u?”, a więc jak wyglądała później moja robota. Skończyłem ją 11 września, kiedy



zaatakowano „wieże” World Trade Center. Bałem się wydania tej książki bardzo, ale ona, można powiedzieć, że została bardzo dobrze przyjęta. Usłyszałem wiele ciepłych słów, że mam fajny styl, że się mnie czyta tak, jakbym siedział przy ognisku i snuł swą historię. Tak jak mówiłem – bałem się wydania tej drugiej książki, bo obawiałem się, czy czegoś nie popsułem. Nie chciałem być autorem strzału jednego singla i na tym koniec. Po ostatnim było: „Pisz dalej” – i to jeszcze z mojego środowiska – od kolegów, którzy razem ze mną odeszli na emeryturę. Mówili, że współczesnego żołnierza trzeba pokazać z innej strony, bo mamy tylko spuściznę „Czterech pancernych i psa”, Hansa Klossa, a jest próżnia do 1989 roku, jakby nie było w ogóle wojska. Pojawiały się jakieś wydania, które są bardziej popkulturą. Dlatego odważyłem się napisać „Zatokę”, gdzie opisywane operacje bojowe były jeszcze przed wojną w Iraku. Pisząc o tej misji, dobrze się bawiłem jako pisarz, układając sobie tę książkę. Później zeszło ze mnie trochę powietrze i zacząłem patrzeć na to z punktu widzenia czytelnika, konstruując akcję w taki sposób, aby nie powstał z tego dreszczowiec, ale powieść, która płynie.

Po „Zatoce” nastał „Camp Pozzi. GROM w Iraku”, gdzie starałem się błędzić i łączyć różne operacje, żeby nie można było poznać, która jest którą. Jednak opisane tam wydarzenia są prawdziwe. A ostatnia książka, z której jestem chyba najbardziej dumny, czyli „Chłopaki z Marsa”, pokazuje, jak silne jest nasze środowisko i odpowiada na wiele pytań dotyczących często tego, czy moje środowisko źle nie patrzy na moją twórczość. Teraz mogę odpowiedzieć – zobaczcie na „Chłopaków z Marsa” – ile osób wystąpiło w tej książce i od żadnej nie usłyszałem „nie pisz”, tylko po napisaniu jej jeszcze kilka się zgłosiło, że można było i ich historie do tej książki dorzucić. Tak więc „Chłopak z Marsa” są taką kropką nad „i”, dowodem na to, że to co robię w środowisku, jest dobrze odbierane. Pokazuje także z punktu widzenia Czytelnika czy popkultury, że ta nasza jednostka GROM nie jest już tylko jednostką polską, ale światową. Powstają nie tylko książki, ale GROM dostępny jest chociażby w grze „Medal of honor”, która obiegała cały świat, a znak Polski Walczącej, dzięki ówczesnemu dowódcy GROM-u, Panu pułkownikowi Gąstałowi został spopularyzowany na całym świecie. Więc trzeba tak na to patrzeć, że się nie mamy czego wstydzić. Tajemnicą natomiast jest teraz to, co chłopaki robią, jak się szkolą. To co myśmy zrobili, co opisałem w moich książkach, jest pokazywane 15 lat wstecz, a więc to już było, minęło i gdzieś troszkę rzeczy można opowiedzieć, żeby ten młody chłopak i młoda dziewczyna w Polsce dzisiaj nie myśleli tak jak ja o wstąpieniu do Legii Cudzoziemskiej w latach dziewięćdziesiątych, tylko myśleli o Wojsku Polskim, o polskich jednostkach specjalnych i dali sobie szansę, żeby spróbować dostać się do GROM-u.

Czy trudniej napisać książkę o charakterze bardziej przygodowym, jak „Przetwać Belize”, czy taką o misjach bojowych, jak „Chłopak z Marsa”, w której wspominasz historie wielu żołnierzy, swoich kolegów i przyjaciół, którzy zginęli na tych misjach?

Może zacząć od technicznej strony. Dzisiaj mam dużą satysfakcję, jak piszę, bo teraz ja się bawię tym pisarstwem, chociaż jest to męczące, bo nie mam aż takiego talentu, który pozwala mi uisnąć i korzystać z wodolejstwa słów coś stworzyć. Dla mnie jest to ciągle ciężka praca w zakresie poprawiania tekstu. Nasza robota w GROM-ie zawsze wiązała się z ryzykiem, że się kogoś straci. Tych chłopaków, którzy zginęli, jest cała lista, są wymienieni na każdej pierwszej czy drugiej stronie w moich książkach. I to jest też oddanie im takiej czci i hołdu, bo w „Chłopakach z Marsa” opisuję

tych kolegów, z którymi przechodziłem selekcję i kurs podstawowy. Przed napisaniem pierwszych stron odwiedziłem ich rodziny, aby móc o nich napisać i dowiedzieć się czegoś więcej. Ta pamięć jest ważna dla mojego środowiska, ale ważna jest też dla tych rodzin, bo nagle ktoś zjawia się po latach i pyta o nich, to sprawia, że dalej żyją w naszych sercach. Mamy nasz rajd motocyklowy, gdzie raz do roku jeździmy, spotykamy się z rodzinami, jesteśmy na grobach. Z drugiej strony mówi się, że tak długo się żyje, jak pamiętać o nas. Jeżeli oni są w moich książkach żywymi i wesołymi chłopakami, to tacy już pozostaną na zawsze.

Nowa książka, która obecnie wchodzi na rynek, to publikacja bardziej techniczna, dotycząca szkolenia...

Poradnik strzelecki...

Dokładnie. Czy mógłbyś naszym Czytelnikom zdradzić, na co mogą liczyć sięgając po tę pozycję?

Patrzac historycznie, jak strzelectwo w Polsce jest uwarunkowane, to każda broń, od dzidy, szabli, kuszy czy broni prochowej, towarzyszyła nam od dawna. Najpierw służyła do celów myśliwskich, później militarnych. Przez rozbiory zostaliśmy rozbrojeni, później po drodze była jeszcze komuna, która nas jeszcze bardziej rozbroiła, łącznie ze zniszczeniem ekspozatów muzealnych. Ja patrzę na to w taki sposób, że każdy rząd, który się boi swojego obywatela, to takiego obywatela rozbraja. Szwajcarzy nie mają z tym problemu ze swoją demokracją i każdy, kto wychodzi z wojska, ma prawo zakupić jednostkę broni i ją przy sobie mieć. My dopiero zaczynamy kielkować jako młoda demokracja i tak samo zaczyna kielkować u nas strzelectwo, które – nie chcę użyć tego słowa – staje się „modne”, ale na pewno zaczyna być w miarę dostępne. Można zrobić patent, można zapisać się na kurs strzelania. Nowo powstałych strzelnic jest sporo, a więc można też pójść sobie komercyjnie postrzelać, nie jest to już tylko umiejętność zarezerwowana dla żołnierzy, policjantów czy funkcjonariuszy. Można zostać strzelcem sportowym, nabyć broń, która jest półautomatyczna i jeździć na zawody, strzelać i spełniać się. Poradnik ma dwóch autorów: Navala i Tyluta – to mój serdeczny przyjaciel, który będąc w cywilu ponad dwa lata pracował jako instruktor na prywatnej strzelnicy. Jego doświadczenie jest nieocenione pod tym względem, że może porównać to, jak myśmy się szkolili, z tym jak to jest na rynku cywilnym. Nasza filozofia posiadania broni palnej zaczyna się od tego, by nieść kaganek wiedzy o tym, jak bezpiecznie posługiwać się bronią palną. Tym, co piszemy na wstępie naszego poradnika, będą na pewno niepokieszeni wszyscy ci, którzy będą chcieli taktycznie posługiwać się bronią palną. My napisaliśmy poradnik, zaczynając od zera. Opisujemy, czym jest lufa, czym jest spust, piszemy, że

jest potrzebny magazynek, żeby zasilić broń amunicją. Czyli zaczynamy od podstaw. Mnóstwo wiedzy przekazujemy o bezpiecznym posługiwaniu się bronią z naszego punktu widzenia, piszemy, jak to ważne było w Jednostce Wojskowej GROM. A więc ten poradnik powstał po to, by dać możliwość komuś, kto jest całkowitym laikiem, zerknąć do poradnika napisanego przez profesjonalistów. Zapoznać się z nimi, przetrrenować sobie kilka procedur samodzielnie w domu i idąc na strzelnicę być świadomym tego, co go czeka i czego ma oczekiwać od instruktora. Oczywiście poszliśmy krok dalej. Poza tą podstawą dajemy też wskazówki, jakich użytkownik powinien nabrać umiejętności. Jaki powinien mieć prawidłowy chwyt, jak powinien pracować na spuście, jak powinien zgrywać przyrządy celownicze, w jaki sposób wykonywać z bronią obroty. Cały czas są to podstawy z mocnym naciskiem, że jeżeli chcesz nauczyć się strzelać, to przeczytaj nasz poradnik, ale idź do instruktora, i to u niego możesz się praktycznie nauczyć. Mając nasz poradnik, zawsze możesz skorygować wiedzę instruktora, ale idź do instruktora. Niech to instruktor uczy cię strzelać.

À propos broni. Czy masz jakąś ulubioną broń, którą brałeś na misję? Wiem, że każda misja jest inna, że do każdej misji podchodziliście indywidualnie i jako operatorzy z innym wyposażeniem, ale czy jest coś, co Naval zawsze brał ze sobą, z czym czuł się pewnie?

Zbroisz się pod daną operację i w zależności od funkcji, jaką masz podczas jej wykonywania. Tak jesteśmy szkoleni, że dobór broni całkowicie zależy od nas. Na samą broń patrzymy pod względem jej niezawodności, a do niezawodnej broni jest nam jeszcze potrzebna niezawodna amunicja. Więc nie mam tu odpowiedzi, że z czymś czułem się pewniej, a z czymś mniej. Respekt użycia karabinu maszynowego FN Minimi powinien mieć każdy przeciwnik.

A jest jakaś broń, o której słyszałeś, a z niej nie strzelałeś, a chciałbyś postrzelać?

Ostatnio to się wydarzyło. Równolegle z pisaniem poradnika strzeleckiego „Ekstremalna strzelnica Navala” kręć program telewizyjny dla stacji POLSAT Sport, który ma tytuł „Strzelnica Navala”. Dwa oddzielne, równoległe projekty, które łączy Naval. Jestem współgospodarzem tego programu razem z Jurasem i Michałem Sitarskim. Miałem zawsze taką chęć strzelania z broni czarnopochowej i przy okazji programu miałem możliwość spędzenia jednego dnia z panami, którzy są fachowcami od takiej broni. Strzelałem z pistoletów o zapłonie zamka skał-kowego, z karabinów używanych

podczas wojny secesyjnej. Czułem się usatysfakcjonowany, że mogłem sam zarepetować taką broń, nauczyć się repetować i po prostu wystrzelić z czegoś, co było opisane w „Trylogii” przez Sienkiewicza.

Rozumiem, że jest diametralna różnica. Jakie są przeżycia z tym związane?

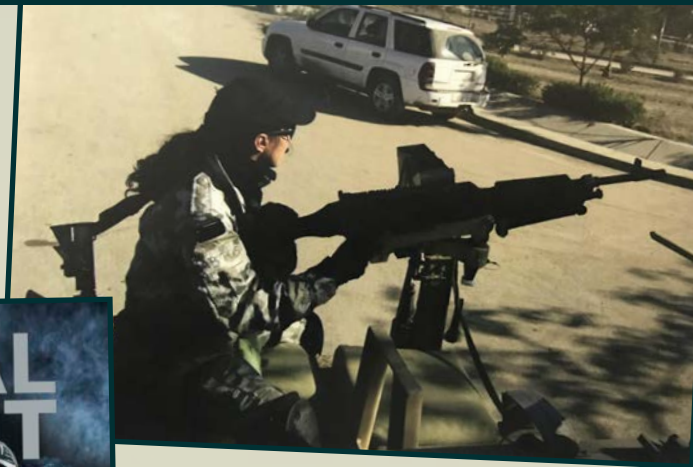
Z tych karabinów są bardzo specyficzne strzelania, bo po naciśnięciu spustu najpierw odpada panewka, dając iskłę, która zapala proch, następuje chwila zwłoki, nawet sekunda, półtorej i dopiero pada strzał. A więc trzeba po naciśnięciu spustu, odpadnięciu panewki odczekać jeszcze chwilę, aż właściwy strzał padnie. To jest niesamowite odczucie takiego wyczekiwania na tę chwilę. Jest to przeżycie całkowicie inne, fajne. Co więcej, ta broń była celna, bo strzelaliśmy z dystansu 25 metrów z broni, która historycznie pochodzi z czasów wojny secesyjnej, a ja strzeliłem praktycznie dwa razy w „dziwiątkę”, punkt w punkt, taki idealny dublet na tarczy.

Hipotetycznie, gdybyś był żołnierzem w czasie Wojny Secesyjnej, czy potrafiłbyś strzelać w linii, jak to wtedy było w praktyce? To była także bardzo specyficzna umiejętność, od której często zależało życie.

Kilka opisów tych bitew przeczytałem. Zadałbym takie pytanie: „Czy żołnierze byli na tyle nieświadomi, że tak w linii stali? A może na tyle głupi? A może wręcz tacy bohaterzy?”. Mając świadomość przy obecnej wiedzy medycznej, jakie spustoszenie taka ołowiana kula była w stanie zrobić w organizmie, mając obecne doświadczenia i wiedzę, jak się dzisiaj walczy, to miałbym duże wątpliwości. Wtedy, aby tę broń załadować, trzeba było inaczej walczyć, unieść lufę ku górze itd. Osobiście wolałbym przykleknąć, osłonić się czymś, walczyć bardziej jako partyzantka, niż iść w tyralierze, ale myślę, że wtedy ta taktyka spowodowana była kulturowo. Bo nie można było strzelać do oficerów, dowódców. Były takie zasady, a więc typowe mięso armatnie szło do walki, a generalicja i oficerowie, czy wygrali, czy przegrali, wieczorem raczyli się trunkami. I raczej bym się tutaj kuśił o powiedzenie, że żołnierze byli bardziej nieświadomi, niż bohaterzy, bo chociaż można mieć odwagę wystawić klatę na pełny strzał, ale strach i adrenalina też są. Wczytując się w zapisy z tamtych czasów czy w najświeższe odkrycia archeologiczne, przeczytałem, że gdzieś pod Somosierrą znaleziono karabin i w lufie było załadowanych 18 kul. Strzelec po niewypale, chociaż panewka mu spracowała i tutaj był w stanie zasypać prochem, wkładał kolejną kulę. Adrenalina i chęć przeżycia strzału były tak duże, że nie odczuwał nawet tego, że kolejna kula nie wylatywała z lufy. Naprawdę respekt dla nich, bo mówię szczerze, że ja z moją wiedzą nie byłbym gotów stanąć w takim zerojedynkowym szeregu.

Czyli dawne wojny miały w sobie coś z dżentelmeńskiej umowy, że nie strzelamy do oficerów. A jaka jest współczesna wojna?

Arystokracji na wojnie nie ma. Jesteśmy świadomi tego, jak wygląda wojna. Druga strona często szkoli się podobnie, więc to są zawsze dwie siły, które ze sobą konkurują od lat. Czym miałeś bardziej ostrą szablę, to ten z drugiej strony chciał mieć lepszą kolczugę. Czy masz lepszy pocisk, to z drugiej strony masz kamizelkę kuloodporną z płyty pancernej, porcelany, a teraz z kevlaru. A poza wojną trwa walka technologii ze sobą. Rynek zbrojeniowy tworzy śmiertelnością broń, ale ten sam rynek zbrojeniowy tworzy



pancerze, które mają to życie uratować. Dzisiejsza wojna... chociaż nie chcę mówić „dzisiejsza wojna”. Każda wojna to jest jeden wielki chaos. Jeżeli chcemy mówić o terrorystach, jak bardzo są niedobrzy itd., to warto przeczytać opisy bitew z XVI czy XVII wieku. Obcinanie rąk i nóg, pozostawianie samych korpusów czy nabijanie na pal... Czym to się różni od tego, co dzisiaj robią terroryści na Bliskim Wschodzie? Czyli twarz wojny wcale się nie zmieniła, zmieniły się tylko epoka i technologie... i nasza wolna od wojen moralność.

Wróćmy jeszcze na chwilę do książki „Ekstremalna strzelnica Navala”. Dlaczego Czytelnicy powinni mieć tę pozycję w swojej bibliotece?

Będąc w GROM-ie, szkoliliśmy się intensywnie, a celne strzelanie było nam potrzebne do tego, żeby wyeliminować zagrożenie, przetrwać i ratować ludzkie życie. To jest taka filozofia, że nie uczysz się strzelać, a Pan Bóg kul nie nosi, tylko masz odpowiednią broń i umiejętności, składasz się, naciskasz spust w odpowiednim czasie, a pocisk trafia zerojedynkowo tam, gdzie chcesz. Nie ma możliwości pomyłki, bo my nie liczymy trafionych strzałów, tylko liczymy te nietrafione. Na kursie podstawowym byli instruktorzy, którzy czasami z nami strzelali. Patrzyłem, jak oni to robią i wydawało mi się, że są to magicy z cyrku, którzy niesamowite rzeczy robią z bronią i nie chciało się wierzyć w to, że kiedyś i ja dojdę do takiej formy strzeleckiej. Ale ten kurs i GROM-owe szkolenie pozwoliły na to, że dochodzi się do takiej formy strzeleckiej i nawet nie wiesz kiedy strzelasz celnie. Teraz będąc na rynku cywilnym, zacząłem patrzeć na to inaczej. Przez wiele lat służby sporo się nastrzelałem, w cywilu nie byłem częstym gościem na strzelnicy. Moje umiejętności strzeleckie nie są już takie, jak te, które posiadałem, będąc GROM-ie. Tam musiały być naprawdę wysokie. Dzisiaj patrzę na wyjście na strzelnicę w cywilu w inny sposób. Jak na chwilę odsapnięcia, która w tym naszym pędzącym świecie pozwala zostawić wszystkie sprawy toczące się dookoła za wałem ochronnym i rubieżą otwarcia ognia. Nie da się strzelać, a w głowie myśleć o czymś innym. Strzelanie jest naprawdę niesamowitym relaksem, idąc na strzelnicę, aby kręcić mój program czy robiąc zdjęcia do poradnika... ja tam odpoczywam. Wiem, że jest głośno, że jest zapach spalonego prochu, ale odpoczywasz i nawet nie wiem kiedy mijają mi dwie godziny. Na strzelnicy nie myśli się o bożym świecie, bo nie masz telefonu, nie da się z nim w rękę strzelać. Jeżeli chcesz się wyluzować, zacznij strzelać, a odpoczniesz. Zacznij od przeczytania naszego poradnika, zapoznaj się z tym, jak ważne są warunki bezpieczeństwa – one są najważniejsze – bo broń przynosi nam relaks, ale też jest śmiertelnością narzędziem. Po naszej lekturze idź na strzelnicę z dobrym instruktorem.

Wspominałeś o szkoleniach. Czy masz na myśli w sposób szczególny któreś z tych, które przechodziłeś w GROM-ie? Które Tobie sprawiło najwięcej trudności i utknęło w pamięci?





Są rzeczy takie, które sprawiają człowiekowi przyjemność i uczy się tego łatwo, płynnie i przyjemnie, i ma z tego satysfakcję. Jest też coś takiego, że ma się satysfakcję, ale dojście do tego jest bardzo trudne. W moim przypadku to było szkolenie morskich działań specjalnych. Ja zostałem po kursie podstawowym z zespołu bojowego „A” delegowany na taki kurs do naszego wodnego oddziału w Gdańsku. Trzymiesięczny zaawansowany kurs morskich działań antyterrorystycznych i to była ciężka i trudna dla mnie próba wysiłkowa. Bałtyk nie jest przyjemnym środowiskiem. Więc długo nie mogłem zrozumieć, jak ktoś może mieć satysfakcję z nurkowania, gdzie maksymalnie na 2-3 metry było coś widać, było zawsze zimno, słono i w ogóle... Była też walka ze swoją głową. Klaustrofobia nigdy nie miałem, ale jednak przeciskanie się przez śluzę torpedową, nurkowanie w nocy w zimnym Bałtyku, praca tylko na busoli, żyrokompasie, głębokościomierzu, manometrze, ciągle sprawdzanie ilości czynnika oddechowego, który masz, są to wszystko elementy, które składają się na naprawdę trudny i ciężki kurs. Do tego dochodzą wymagający instruktorzy, którzy są twoimi kumplami, a dokuczają ci tak bardzo, że masz ich dosyć. Ale oni wszystko robią po to, że kiedy w tym środowisku będziesz walczyć, cokolwiek ci się stanie, to masz już przetrenowane. My się w naszej jednostce szkolimy tak cały czas. Na treningu ma być naprawdę ciężko, bo tutaj jest chwila na zrobienie klatki stop, powrót do podstawowych dobrych warunków i znowu sprawdzenie, a na wojnie nie ma tego komfortu. Ja to wielokrotnie przeżywałem. Kiedy ktoś pytał o selekcję, to zawsze o to: „Dlaczego jest tak trudna?” itd. Selekcja jest czasem, w którym instruktorzy ratują ludziom życie, bo nie puszczają ich dalej, nie przyjmują ich do jednostki. Niejednemu uratowali życie, bo jeżeli ktoś sobie nie radzi w chwili, kiedy jest zimno albo kiedy jest gorąco, kiedy jest głodny, kiedy jest do domu daleko, kiedy jest niewyspany i zmęczony, to żaden z tych czynników nie zabija. Na wojnie mając wszystkie te czynniki jednocześnie musisz walczyć, śmiertelnym zagrożeniem jest przeciwnik.

A wykorzystywałeś kiedyś te nabyte umiejętności, jeśli chodzi o walkę pod wodą?

Zatoka Perska to było całe spektrum morskich działań antyterrorystycznych, tylko że robiliśmy abordaże, atakując statki czy tankowce z łodzi sztywnych, a stricte na bojowo nie wykorzystywałem swoich umiejętności nurkowych. Robili to inni, ale było to to samo środowisko. Trzeba było umieć funkcjonować w nim, bo to jest nie tylko nurkowanie, które jest tylko drogą dotarcia do celu twojej operacji. Sposób dotarcia czasami nie jest nawet

dziesięć procentami całej akcji. Samo poruszanie się w środowisku wodnym nie wystarcza, musisz potrafić także postawić tyczkę, na której jest drabinka speleo, wejść po tej drabince i dopiero jak jesteś tam u góry, to zaczynasz robotę szturmową, czyli: dominować pomieszczenia, którymi są nadbudówki, maszynownia, ładownia, klatki schodowe.

Które misje stricte bojowe były najtrudniejsze? Jak je wspominał?

Dlaczego ulubionym pytaniem zadawanym przez dziennikarzy jest zawsze to o misje bojowe, a nie to o wesołe momenty podczas służby?

O to też chciałem zapytać. Zatem czy w trakcie realizacji operacji były jakieś momenty „humorystyczne”?

Tych momentów jest bardzo dużo, bo my jako żołnierze jesteśmy bardzo wesołymi facetami. To reportaże, dokumenty czy filmy, cała taka aura dziennikarska pokazuje, że jesteśmy twardzielami z grubą skórą i idziemy w bój nie patrząc na to wszystko, co jest dookoła. Poza tą ciężką robotą trzeba normalnie dać głowie odpocząć i upuścić tę parę z siebie. Jesteśmy weseli i czasami robimy sobie jakieś psikusy, żyjemy, funkcjonujemy, chcemy śpiewać, tańczyć i napić się dobrego piwa po robocie, żeby opłukać swoje gardło. Te humorystyczne rzeczy często się zdarzają po powrotach, jak się spotykasz w kraju z kumplami i idziesz na piwo na Warszawę, to potrafi być śmiesznie i wesoło. Wtedy patrzysz na wszystko z takiej troszeczki innej perspektywy. Jest się bardzo wyluzowanym, spokojnym i wiele rzeczy puszczasz mimo uszu.

To wróćmy teraz do pytania ulubionego przez dziennikarzy...

Przed wszystkim to nie jest tak, że jakieś takie operacje są niesamowicie trudne, bo tak jak mówiłem, my szkolimy się i mamy przewagę technologiczną, żeby sobie radzić w każdym miejscu.

Takim trudnym środowiskiem, w którym naprawdę byłem zmęczony i musiał każdy z nas odpocząć, aby przejrzeć na oczy, były misje w Afganistanie. Ja bardzo lubię podróżować, ale Afganistan jest chyba jednym z ostatnich krajów na liście, które chciałbym odwiedzić. Zresztą rejon, w którym działaliśmy, znajdował się powyżej 2000 m n.p.m., chyba najwyższej, jak byliśmy, to 3700 m n.p.m. Jest to kraj bardzo górzysty, pozbawiony w dużej części roślinności, a więc wiatr, który u nas się mówi, że jest halny, że jest zmiana ciśnienia, to tam hula z jednej i drugiej strony, i nie wiesz, co ci się w głowie dzieje. Jest sucho, więc i mnóstwo kurzu. Ja się tam nabiłem jakiegoś uczulenia na kurz, a więc jak jest kurz, to zaraz mam oczy zażawione, leci mi z nosa jak z otwartego kranu. Samo przebywanie w tym środowisku jest już mało przyjemne. Bardzo trudni są też nasi przeciwnicy. Nam się wojna kojarzy z sytuacją, że jest ktoś umundurowany, ze sprzętem wojskowym i jesteś w stanie go odróżnić. Tam talib czy wieśniak wygląda dokładnie tak samo, więc nie masz zerojedynkowego przeciwnika, z którym możesz walczyć i z każdego węgla może paść zagubiona gdzieś kula. Jeżdżąc przez te miejscowości jesteś notorycznie spięty. Poza tym przeciwnik bardzo rzadko stawał nam na drodze, a raczej były to zasadzki i podkładanie min, to one były naszym głównym przeciwnikiem. Pamiętam taką sytuację, że wjechaliśmy całkiem nieświadomie na pola minowe. Jedziemy podczas patrolu, ja patrzę i znam to z obrazków, że zdjęć, że szkoleń, to coś, co piasek odkrył. Nagle się zatrzymujemy, wysyłamy komunikat radio-woj, gdzie jesteśmy i całe szczęście, że mieliśmy dostęp do poradzieckich map, bo się okazało, że jesteśmy centralnie na polu minowym rozłożonym

jeszcze przez Rosjan w czasie wojny w latach 80. Pole leżało ugięte i nikt go nie rozminowywał. Byłem pierwszym samochodem z Michałem, dowódcą całego patrolu i naszej grupy, i tak sobie klucziliśmy. To dziwne uczucie, kiedy czujesz, że pod kołami mijasz minę. Kolega przez radio nadawał ostrzeżenia, że jest kolejna mina, kolejna mina, kolejny pocisk leży i przejeżdżamy nad nim, i wskazywał drogę, by trzymać się naszych śladów. To są takie chwile, kiedy myślisz sobie, że jak pieprznie, to na bank konkretnie. Afganistan dał mi się we znaki, zarówno fizycznie, jak i głowa czasami miała dosyć. Często operacje były kilkudniowe. Jak wyjeżdżaliśmy, to na cztery, pięć dni. Po tym czasie błądząc na pustyni..., może nie błądząc, mając patrol gdzieś tam na pograniczu afgańsko-pakistańskim. Oczywiście wymuszaliśmy kontakty z przeciwnikiem, a kiedy wracałeś do bazy w Kandaharze, to trzy-cztery dni dochodziłem do siebie, pluło się cały czas żółtą śliną, kaszel wyrwał ci cały syf z płuc. To było trudne, ale to była nasza robota...

To teraz pytanie z innego obszaru. Niedawno w USA pierwsza kobieta zaliczyła ćwiczenie Robin Sage i z pozytywnym wynikiem zaliczyła szkolenie do sił specjalnych. W Polsce już dawno kobiety służyły w grupach bojowych w GROM-ie. Byłeś w takim zespole. Powiedz mi, czy uważasz, że kobiety w sekcjach bojowych to dobry pomysł?

Ja uważałem i nadal uważam, że GROM to nie jest miejsce dla wszystkich i mam o nich bardzo pozytywne opinie. Ale tu trzeba popatrzeć na cechy fizyczne. Bolt nie będzie biegał na „setkę” w rywalizacji z kobietami, bo zawsze wygra. Zawodnik MMA nie będzie walczył z kobietami, bo wygra. Możliwości wydolności fizycznej mężczyzn i kobiet nie da się oszukać, jakby na to nie patrzeć. Oczywiście, że dziewczyny, z którymi byliśmy w jednostce GROM, są wybitnymi dziewczynami. One przeszły to samo szkolenie co my, ale tu po szkoleniu jeszcze jest proza dnia codziennego i robienia tej roboty. I tutaj już nie wrzucisz sobie w sekcję dziewczyny, która przeszła szkolenie, ale i tak odstaje fizycznie od tych pięciu facetów. Nie poznałem w swoim życiu takiej kobiety, która przeszłaby ją i fizycznie nie odbiegała od wybitnie wysportowanych mężczyzn. Dlatego sekcje składają się wyłącznie z mężczyzn. Panie są bardzo ważne, raz – że jest coś takiego jak męski i kobiecy punkt widzenia, tak więc widzą czasami coś więcej niż my. Są też operacje

w krajach muzułmańskich, do których kobiety są wręcz dedykowane i my faceci się nie nadajemy. Mogą pójść i wtopić się w tłum, a ich przeszkolenie w chwilach kryzysowych pozwala im na działanie zgodnie z taktyką, wiemy, że poradzą sobie. Dzisiaj, całkowiec szczerze mówię, że kobiety są jak najbardziej potrzebne i powinny się szkolić na równi z facetami. Jak najbardziej jest miejsce dla pań w siłach specjalnych. Niech to robią, niech się starają i walczą o siebie, ale są dziedziny, że ja osobiście nie widzę dla nich miejsca. Żołnierze jednostek specjalnych, uwierzcie mi, to wyczynowi sportowcy, jak była taka możliwość konkurowania, to maratończycy biegliby wszyscy razem, bez podziału na kategorie męską i damską.

Dziękuję za rozmowę.

SPECIAL OPS



ZDJĘCIA: ARCH. MICHAŁA MATRAJA I WOJCIECHA BĄBLIŃSKIEGO
ROZMAWIĄŁ: TOMASZ ŁUKASZEWSKI

RATOWNIK

NA MISJI

O SŁUŻBIE PARAMEDYKA W WARUNKACH BOJOWYCH I ŻYCIU NA MISJI POZA GRANICAMI KRAJU ROZMAWIAMY Z MICHAŁEM MATRAJEM – RATOWNIKIEM CYWILNYM PEŁNIĄCYM SŁUŻBĘ W BAZIE NATO NA POŁUDNIU AFGANISTANU.

Jak zostałeś ratownikiem na misji?

Pracę jako ratownik w pogotowiu ratunkowym zacząłem po skończeniu studiów na Akademii Medycznej we Wrocławiu w 2005 r. Później pracowałem na oddziale ratunkowym w Szpitalu Wojskowym we Wrocławiu i tam w 2006 roku do naszego kierownika oddziału przyszedł faks z Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych z informacją, że są poszukiwani ratownicy medyczni na misje zagraniczne. Wtedy jeszcze misje odbywały się w Iraku, wówczas w Syrii i Libanie. Misji w Afganistanie jeszcze nie było. Doszedłem do wniosku, że ponieważ jestem młody, żony i dzieci jeszcze nie mam, w Polsce pracuję za śmieszne pieniądze, to może spróbuję swoich sił za granicą w jakimś kontyngencie wojskowym. Skontaktowałem się z Dowództwem Operacyjnym, gdzie wyjaśniono mi, jak taka praca wygląda, jakie są możliwości i jaka jest ścieżka rozwoju. Wysłałem swoje dokumenty na rekrutację. Od wiosny 2006 roku do lata 2007 r. w temacie nie zadziało się nic. W sierpniu 2007 r. jadąc w karetkę, dostałem z Dowództwa Operacyjnego telefon z pytaniem, czy chcę lecieć na misję do Afganistanu. Byłem zdziwiony, bo dokumenty wysłałem kilkanaście miesięcy wcześniej i myślałem, że to już nieaktualny temat. Zapytałem, do kiedy mam się zdecydować. W odpowiedzi usłyszałem, że do końca tygodnia, bo akurat jest kompletowany kontyngent na drugą zmianę misji w Afganistanie i brakuje ratowników medycznych. Wróciłem do domu po dyżurze, zaparzyłem sobie kubek kawy, chwilę pomyślałem i tak trafiłem pierwszy raz do Afganistanu.

Która to obecnie Twoja misja? Czy zmieniło się coś istotnego w stosunku do pierwszej?

Obecnie jestem już siódmy rok na misji w Afganistanie, ale nie pracuję już dla polskiego wojska. Poprzez firmę australijską pracuję jako kontraktor dla amerykańskiego wojska. Wcześniej byłem pracownikiem cywilnym Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych RP. Z polskim kontyngentem spędziłem prawie osiem zmian w Afganistanie. Później miałem pięcioletnią przerwę, bo misja się zakończyła. Rozpoczęła się nowa, Resolution Support, ale w tych nowych warunkach wojsko nie zatrudniało już ratowników cywilnych, jedynie wojskowych. Chcąc wrócić do kraju, do którego teoretycznie nie można tak po prostu pojechać, znalazłem sobie

firmę prywatną, która mnie zatrudniła i pracuję obecnie w Kandaharze na południu Afganistanu w bazie wojsk NATO.

Jakie trzeba mieć przygotowanie zawodowe, żeby zostać ratownikiem medycznym na misji?

Jeżeli chodzi o polski kontyngent, to nie było specjalnych wymagań. Trzeba było mieć dyplom ukończenia dwuletniej szkoły bądź studiów wyższych w kierunku ratownictwa medycznego oraz posiadać dwuletnie doświadczenie w zawodzie na stanowisku ratownika medycznego. Nie było żadnych innych wymagań taktycznych. Przyznam szczerze, że jako Polacy to na początku musieliśmy się uczyć od podstaw procedur w zakresie



czerwonej taktyki, jak i TC3, a pierwsze doświadczenia jako medycy na polu walki zaczęliśmy zdobywać w Iraku, później w Afganistanie. Dla mnie było to całkowicie coś obcego. Zgłosiłem się na misję i wiedziałem, że jest tam wojna i dużo się dzieje, ale nie miałem tak do końca świadomości, jak to będzie wyglądało. Doszedłem jednak do wniosku, że skoro radzę sobie w ambulansie w Polsce, to poradzę też sobie na misji. Wiedziałem, że praca ratownika może się wiązać z wyjazdami w konwojach i na patrolach. Przed wylotem wszystko mi dokładnie wyjaśniono i omówiono, ale przygotowania scricie taktycznego nie miałem i nie było takiego wymogu. W Kielcach jest tzw. Centrum Misyjne, które przygotowywało nas do tego wyjazdu. Sprawdzano głównie stan zdrowia, kondycję, użębienie. Trzeba było być w 100% zdrowym, aby wylecieć na taką misję. Później, od czwartej zmiany, pracowników cywilnych udających się na misję zaczęto bardziej przygotowywać także pod względem taktycznym.

Taka praca to ogromny stres – nie tylko z powodu wojny, ale także z obawy o życie osoby, którą ratujesz. Jak sobie z tym radzisz?

Jeżeli chodzi o stres, to towarzyszy mi on tutaj na każdym kroku, ale towarzyszył też w tej pracy wcześniej. Nam jako ratownikom medycznym jest trochę łatwiej, bo na co dzień zderzamy się z przypadkami ludzkiego cierpienia. Nie jest nam obca ani rana, ani krew, która się z niej leje. Jeżeli chodzi o ostrzał bazy czy konwojów, to w dalszym ciągu występują. Może jest ich trochę mniej niż było kiedyś. Co jakiś czas mamy tutaj ostrzał raketowy, włącza się syrena i człowiek niezależnie w jakiej jest pozycji i co robi, zaczyna działa schematycznie i automatycznie: paść na ziemię, schować głowę, odczekać dwie minuty, założyć kamizelkę kuloodporną i udać się do schronu. W pierwszej chwili towarzyszy temu bardzo silny stres. Jako paramedycy pracujący w Emergency Medical Services, mamy obecnie pod opieką całą bazę w Kandaharze, tak więc mamy od razu informację, czy i w takim ostrzale są ranni, gdzie i w co rakietą uderzyła, czy jest już bezpiecznie i czy możemy już wyjść. Mamy też świadomość tego,

że jesteśmy w bunkrze, bardziej bezpieczni i że ryzyko jest mniejsze. Rozładowanie tego stresu przychodzi później. W bazie nie ma za dużo atrakcji, nie ma kina, teatru itp. Jest tylko siłownia i kubek kawy z kolegami oraz możliwość zobaczenia jakiegoś filmu na komputerze. Siadamy, rozmawiamy ze sobą i w ten sposób rozładowujemy te negatywne emocje.

Jak wygląda życie na misji?

Strasznie monotonna. Człowiek żyje jak w zamknięciu. Tak jak wspomniałem, nie ma tutaj wielu atrakcji ani rozrywek. Nawet jedzenie jest bardzo monotonna. Jest nas tutaj sześciu paramedyków i pracujemy w systemie dobowym. Trzech dyżuruje, a pozostali odpoczywają. Mamy tzw. offa, co znaczy, że nie mamy przypisanego ambulansu, ale pozostajemy do dyspozycji, gdyby w danej chwili pojawiło się więcej rannych. Jak wygląda mój dzień wolny? Dzień zaczynam około godziny 6 i przygotowuję się do zdania dyżuru, szykuję ambulans, sprawdzam, czy wszystko działa oraz sprzętam. Ze względu na warunki pogodowe w ambulansie zawsze jest dużo pyłu i piasku, co wymaga regularnego czyszczenia. Około 7:30 spotykamy się w grupie, przekazujemy sobie leki i medykamenty, o 8 odprawa z całą załogą, a później jest już dzień wolny. Mieszkam w kontenerze 4x2 metry i to jest całe moje królestwo. Po lunchu jest standardowo siłownia, bo jesteśmy zobowiązani do tego, aby utrzymać kulturę fizyczną na właściwym poziomie. Wieczorem jemy kolację, a po niej oglądamy jakiś film przy kubku kawy lub rozmawiamy z kolegami. Pracuję w systemie dwumiesięcznym: dwa miesiące na misji i dwa miesiące w kraju. Wcześniej, kiedy pracowałem dla polskiego wojska, nie miałem takiego schematu dnia, pracowałem, kiedy była taka potrzeba. Byliśmy w małej bazie i praca polegała głównie na zabezpieczeniu wszystkich żołnierzy na miejscu i udziale w konwojach i patrolach, które obowiązkowo musiały wyjeżdżać z ratownikiem. Czasami robiliśmy po trzy patrole dziennie. Zdarzało się, że wyjeżdżaliśmy z bazy na trzy dni. Ten dzień wyglądał trochę inaczej, bo był uzależniony od tego, kiedy i ile patroli miało być danego dnia. Kiedy pogoda nie pozwalała na wyjazd, to czasami przez tydzień zostawaliśmy w bazie, gdzie nie działały telefony komórkowe, nie było internetu. Wówczas siedziało się z kolegami. Tak wyglądał cały dzień.

Czy przed misją byłeś szkolony, jak się zachować „taktycznie” w sytuacji ostrzału itp.?

Tutaj w Kandaharze nie wyjeżdżam poza bazę, bo pracuję w ambulansie na miejscu. To do nas trafiają ranni z pola walki. Jeżeli chodzi o kontyngent, gdzie wcześniej pracowałem, to mieliśmy w bazie instruktazę i sami się na miejscu szkoliliśmy, jak w danej sytuacji powinniśmy się zachować. W przypadku wojska, to każda jednostka wyjeżdżająca na misję przez pół roku przechodziła takie szkolenia. Jako cywil nie brałem w nich udziału, bo w Polsce nie było takiej możliwości.





Z racji tego, że jesteś cywilnym ratownikiem, nie nosisz broni. Czy czujesz z tego powodu dyskomfort? Czy zdarzyły się sytuacje, że przydałaby się dodatkowa lufa w teamie?

Podczas patroli rzadko się zdarzało, aby żołnierze wypuszczali mnie samego z opancerzonego pojazdu. Wysiadałem tylko wtedy, kiedy była taka potrzeba. Ratownik medyczny w konwoju jest osobą chronioną, czyli zawsze jak wysiada z pojazdu, to dowódca przydziela mu jednego lub dwóch żołnierzy, którzy w krok w krok idą za paramedycznym i pilnują, aby mu się nic nie stało. Pod tym względem czułem się bezpiecznie i komfortowo. Żołnierze mają świadomość, że jak medyk polegnie, to mało kto może im pomóc. Oczywiście miałem sytuację, kiedy konwój, w którym jechałem, został ostrzelany, kiedy musiałem w polu ratować żołnierzy, ale nawet wtedy byłem osobą ochranianą.

Jak na tle armii sojuszniczych wygląda wyszkolenie i wyposażenie medyczne polskich żołnierzy?

Jeżeli chodzi o polskie wojsko i nasz stopień przygotowania, to Polacy są już bardzo dobrze przygotowani. Początki były trudne, ale bardziej związane z logistyką. Nie mieliśmy chociażby wozów ewakuacji medycznej. Pierwsze takie Rosomaki dotarły do baz w 2008 roku. Ostatni raz na misji z polskim wojskiem byłem w 2013 roku i zarówno sprzęt, jak i wyszkolenie już wówczas nie odbiegały od standardów innych wojsk sojuszniczych. Jeżeli chodzi o czerwoną taktykę czy TC3, to nie jest nam obca. Sporo sprzętu mamy użyczone przez naszych sojuszników, ale tego, który posiadamy, np. wspomniane Rosomaki, zazdroszczą nam nawet Amerykanie. Są to świetne pojazdy, bezpieczne, przygotowane do warunków panujących w Afganistanie. Nasz sprzęt w dniu dzisiejszym niczym się już nie różni od sprzętu amerykańskiego.

Jako paramedycy stale się rozwijamy. Na miejscu uczestniczymy w różnego rodzaju szkoleniach z udziałem zarówno amerykańskich, jak i polskich żołnierzy oraz sprzętu wojskowego. Takie szkolenia mamy co tydzień, gdzie wymieniamy się różnymi doświadczeniami. Polskie Wojsko nie wymyśla nic nowego, nie mamy swoich procedur, które na siłę chcemy wdrażać. Korzystamy z doświadczeń specjalistów armii sojuszniczych.

Nasi żołnierze znają zasady natowskiego systemu TC3?

Polscy paramedycy mają to już doskonale opanowane. TC3 to wszystkie działania podejmowane na polu walki, które powodują, że ratujemy życie żołnierza działającego na tym polu walki. W warunkach bojowych przede wszystkim powinniśmy zadbać o swoje życie. Założenia „czerwonej taktyki” są obecnie takie, aby głównie zwracać uwagę na krwotoki i to w pierwszej kolejności je tamować. W ratownictwie cywilnym jest odwrotnie, najpierw sprawdzamy oddech i akcję serca, a później przechodzimy do poważniejszych obrażeń, choć to też powoli się zmienia, między innymi za sprawą takich organizacji jak Stop The Bleed Foundation, której jestem instruktorem, a która uczy, że w ratownictwie cywilnym też trzeba kłaść duży nacisk na tamowanie krwotoków w pierwszej kolejności. TC3 odwraca ten schemat udzielania pomocy, np. ABC, który znany jest już nawet przedszkolakom, wiedzącym jak udzielić prawidłowo pierwszej pomocy, czyniąc z niego schemat CBA. TC3 oczywiście jest bardzo obszerne, a to tylko jeden z przykładów.

Czy za pomocą indywidualnego zestawu medycznego żołnierz jest w stanie udzielić sobie pomocy? Jak to wygląda dziś, a jak wyglądało kiedyś?

Każdy żołnierz wyposażony i wyszkolony, jak obsługiwać taki sprzęt, jest w stanie uratować swoje życie. W takim zestawie indywidualnym główną i podstawową rzeczą, która się w nim znajduje, jest staza taktyczna, którą żołnierz powinien potrafić sobie założyć. Jeżeli chodzi o te pakiety medyczne, to wyposażone są w środki opatrunkowe, stazę taktyczną, nożyczki, rurkę nosowo-gardłową do udrożnienia dróg oddechowych i osoba, która posiada taki pakiet medyczny w sytuacji krytycznej powinna wykorzystać

go najpierw ratując własne życie, po to aby móc później ratować innych.

Czy w Twojej ocenie samopomoc medyczna ma sens? Czy żołnierze są w stanie, będąc w silnym stresie, udzielić prawidłowo pomocy sobie lub kolegom?

To sprawa indywidualna, ale myślę, że ten stres wpływa na motywację do działania i chęć ratowania życia swojego i innych. Często słyszymy, że w skrajnych sytuacjach ktoś dokonuje czynów bohaterских. Wtedy nie myślimy, co dzieje się dookoła nas, a skupiamy się na udzieleniu komuś pomocy. Każdy ma stazę taktyczną przy sobie, wie, jak jej użyć i w sytuacji zagrożenia działa schematycznie. Procedury medyczne w przypadku żołnierzy ciężko rannych, to już są procedury przeznaczone dla medyków wykwalifikowanych, ratowników medycznych bez względu na to, czy żołnierzy, czy cywili, którzy posiadają przy sobie plecak z „zaawansowanym” sprzętem. Jednak każdy żołnierz na misji ma przy sobie tak zwany Indywidualny Pakiet Medyczny, zawarty w nim sprzęt jest tak prosty i intuicyjny, że nie ma żadnej instrukcji obsługi, wystarczy zdjąć opakowanie, np. z opatrunku i wiadomo, jak go użyć. Częste szkolenia, choćby te najprostsze, zapoznavanie się ze sprzętem nawet na „sucho”, który ma się przy sobie, skutkują tym, że każdy wie, jak go użyć.

Co sądzisz o pośrednim ogniwie w armiach sojuszniczych, jakim jest Combat Life Saver pomiędzy żołnierzami (samopomoc, pomoc koleżeńska)? Jaka jest różnica między nim a wykwalifikowanym medykiem?



CLS oprócz tego, że jest żołnierzem szeregowym, który idzie z innymi na pole walki, posiada wiedzę i umiejętności oraz ma ze sobą rozszerzony indywidualny pakiet medyczny, dzięki któremu może podłączyć nawet kroplówkę. Kurs CLS idzie dwutorowo: wersja podstawowa i wersja rozszerzona. Rozszerzona trwa 60 godzin i obejmuje m.in. założenie dojścia dożylnego. Oprócz tego, taki żołnierz przy sobie ma nie jedną stazę taktyczną, a pięć lub sześć, ma więcej różnego rodzaju opatrunków, specjalne igły do nakłucia klatki piersiowej i odbarczania odmy, co powoduje, że jest w stanie pomóc więcej niż jednej osobie. U nas nazywa się takie osoby sanitariuszami, też są wyposażeni w specjalny plecak medyczny z podobnym wyposażeniem jak torba CLS i także przechodzą spe-



REKLAMA



Ból.
Mocna opowieść
o rannych
i medykach
na wojnie.

Cena: **39,00 zł**

cialne szkolenia, np. w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi. Amerykanie wymyślili dla siebie nazwę Combat Life Saver i w każdym pojeździe musi znajdować się przynajmniej jeden taki CLS-owiec, oprócz tego w każdym patrolu oczywiście znajduje się paramedyk. Nawet najlepszemu paramedykowi w pojedynkę działać jest trudno i nie zawsze można wszystko zrobić. Mając wsparcie CLS-owca, sanitariusza, czujemy się pewniej i działamy sprawniej. Często zdarza się, że ratownik medyczny, mimo że jest w tym samym patrolu, zanim dotrze do rannego, mija sporo czasu, bez pomocy, czy to amerykańskiego CLS, czy polskiego sanitariusza paramedyk często nie miałby już czego szukać... mówiąc wprost. To tak jak przy wypadku samochodowym w Polsce, jeśli na miejscu nikt ze świadków nie udzieli pomocy, nie rozpocznie resuscytacji u człowieka, którego serce nie bije, to załoga ambulansu, która do miejsca wypadku ma 15–20 min dojazdu, nie może pomóc już rannym. Od momentu zatrzymania akcji serca po około 4 minutach w mózgu dochodzi do nieodwracalnych zmian.

Jak uważasz, czy obecnie ilość wykonywanej pracy dla paramedyka na misji jest mniejsza czy jest to na stałym poziomie?

W tej chwili charakter misji jest inny. Ta, która trwa obecnie, tzn. wsparcie i szkolenia, powoduje że jest mniej patroli i konwojów. Jest przez to mniej rannych żołnierzy. Nie ma operacji kinetycznych, wojsko nie jeździ daleko od bazy. Mniej się dzieje ze strony wojska, chociaż w samym Afganistanie dzieje się bardzo dużo. Przyjmujemy obecnie nie tylko żołnierzy amerykańskich, ale także żołnierzy afgańskich, którzy prowadzą walki z Talibami przez cały czas. Co chwilę są jakieś ataki na posterunki policji czy zamachy w miastach na budynki rządowe. Obecnie też zdarzają się zamachy na konwoje, ale jest ich mniej. Zmieniła się taktyka działania Talibów, którzy nie atakują bezpośrednio albo za pomocą małych min pułapek, ale wypełniają zwykłe samochody osobowe materiałami wybuchowymi i taki pojazd wjeżdża w konwój i się detonuje. Ataków na bazę, przynajmniej w Kandaharze, jest już niewiele. W Bagram jest ich więcej, bo jest tam teren górzysty, co umożliwia ostrzał bazy. Co chwilę mamy nowe informacje, że są planowane jakieś ataki, ale przeciwdziałają im żołnierze sił specjalnych, o czym jednak nie możemy mówić. **SPECIAL OPS**

Książka dostępna na:



ROZMAWIAŁ: TOMASZ ŁUKASZEWSKI
ZDJĘCIA: ARCH. PŁK. SZCZEPANA GŁUSZCZAKA

„SPECIAL OPS” ROZMAWIA Z PŁK. SZCZEPANEM GŁUSZCZAKIEM
– DYREKTOREM CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ
POZA GRANICAMI PAŃSTWA.

NAJWIĘCEJ WETERANÓW MAMY PO MISJACH W IRAKU I AFGANISTANIE

Centrum Weterana Działania Poza Granicami Państwa zostało powołane, żeby opiekować się, jak sama nazwa wskazuje, weteranami. W jakim zakresie?

Nasz ośrodek został powołany, żeby udzielać wsparcia i pomocy weteranom działań poza granicami państwa. Zakres tej pomocy tak naprawdę jest bardzo szeroki i w dużej mierze zależy od potrzeb weteranów. Są to przede wszystkim porady i konsultacje prawne i psychologiczne, pomoc w uzyskaniu legitymacji weterana, w rozwiązywaniu problemów w uzyskaniu uprawnień wynikających z ustawy. Bardzo często weterani czy rodziny poległych zwracają się do nas w bardzo osobistych sprawach, które odbiegają od tych typowo statutowych. Każda jest inna, nacechowana innym poziomem emocji i czasami skrajnym biegunem różnorodności. Nigdy nie ma podobnego dnia czy takiego samego problemu.

Kto może zostać weteranem i jakie musi spełniać warunki?

Ustawa o weteranach, której nowelizacja weszła w życie jesienią 2019 r., określa szczegółowo, kim jest weteran z punktu widzenia polskiego prawa. Jakie warunki muszą być spełnione, by otrzymać legitymację i w pełni korzystać z opisanych tam praw i przywilejów, np. obiektów sportowych, muzeów czy pomocy medycznej.

Natomiast życie pisze różne scenariusze. Nie każdy zgłaszający się do nas weteran posiada legitymację, niemniej jednak nie pozostawiamy go bez pomocy. Oczywiście zachęcamy weteranów do tego, by taką legitymację wyrabiali.

Jak duża jest obecna liczebność weteranów, o których wiecie na podstawie legitymacji bądź innych informacji?

Od 1954 roku około 115 tysięcy żołnierzy i pracowników wzięło udział w ponad 90 misjach poza granicami państwa.

Czy Centrum Weterana prowadzi jakąś statystykę, ilu jest weteranów związanych z siłami specjalnymi?

Nie, tak naprawdę nie prowadzimy statystyk z podziałem na rodzaje sił zbrojnych. Nie jest nam to potrzebne ze względu na prowadzoną przez nas działalność. Pomoc kierujemy do każdego, kto się do nas zwróci, bez względu na kolor noszonego beretu czy odcień munduru. Niemniej jednak musimy wziąć pod uwagę, że praktycznie każda operacja bojowa, która była prowadzona w ostatnich dekadach (np. misje w Iraku czy Afganistanie), zawsze była wspierana przez Wojska Specjalne.

Po której misji jest najwięcej weteranów?

W misjach poza granicami państwa bierzemy udział od 1953 roku. Pierwszą naszą misją była Korea. Jest to najdłuższe trwająca misja, bo trwa aż do dzisiaj. Natomiast największą ilość weteranów i niestety również weteranów poszkodowanych, którzy ucierpieli w wyniku prowadzonych działań, mamy z Iraku i z Afganistanu. Tam kontyngenty były najliczniejsze, bo liczyły po kilka tysięcy żołnierzy i pracowników, dlatego z tych dwóch miejsc mamy najwięcej weteranów.



Centrum Weterana podejmuje ciekawe inicjatywy angażujące weteranów w różnego rodzaju projekty. Jedną z nich jest projekt „Wojownik”, którym Pan Pułkownik zajmował się jeszcze przed przyjściem do Centrum Weterana, a drugim jest „Weterani dla pszczoł, pszczoły dla weteranów”. Czy można poprosić o szersze informacje o obu tych projektach?

Projekt „Wojownik” powstał w 2018 roku. Zainspirował mnie do niego jeden z naszych kolegów weteranów, który pomimo że doznał ciężkich obrażeń na misji, to nadal był aktywny ruchowo. Trenował tajski boks i nawet udało mu się stoczyć pokazowy pojedynek z innym, także rannym weteranem. Wówczas pomyślałem, że to może być dobry sposób na integrację środowiska, na pomoc tym wszystkim, którzy mają problemy z adaptacją po powrocie i nie mogą sobie znaleźć miejsca. To także świetna metoda przeciwdziałania objawom PTSD. Sporty walki jak każda inna dyscyplina wyzwala endorfiny czyli naturalne witaminy szczęścia. Ponadto chłopaki mogą tam znaleźć adrenalinę, której po powrocie z misji czasami brakuje. Projekt „Wojownik” daje możliwość i szansę dla każdego weterana czy członka rodziny poległego, żeby przyjechać, spotkać się i spędzić czas w swoim towarzystwie. To pomaga. Na pewno nie powiedzieliśmy ostatniego zdania w zakresie sportu i weteranów. Mam sporo nowych pomysłów, które chciałbym w przyszłym roku zrealizować. Więc na pewno na sportach walki się nie skończy. Także w tym roku zorganizowaliśmy Rajd Motocyklowy Weteranów, którego głównym celem była integracja środowiska, ale przede wszystkim oddanie czci poległym kolegom. Na drugim biegunie tych bardzo aktywnych projektów możemy postawić ten ostatni, nie mniej ważny z punktu widzenia przyrody i życia. Mam na myśli oczywiście wspólny projekt z Fundacją „Bliżej Pszczoł” – „Weterani dla Pszczoł, Pszczoły dla Weteranów”. Tak naprawdę pszczoły są w tej chwili na topie. Ich znaczenie dla środowiska jest nie do przecenienia. Warto może weteranom pokazać, że jest to nie tylko wspaniały sposób na wyciszenie, odnalezienie wewnętrznego spokoju i harmonii, ale również ciekawe hobby, a może się okazać także sposobem na życie.

To są pomysły ukierunkowane dla weteranów, a czy są jakieś pomysły weteranów skierowane dla społeczeństwa? Czy w tym kierunku Centrum też będzie podążało?

Oczywiście, że tak. Takie działania są podejmowane. Drugim, nie mniej ważnym filarem naszej działalności jest promocja służby poza granicami państwa i edukacja z tym związana. Przy tym skupiamy się nie tyle na weteranach, co na społeczeństwie jako grupie docelowej. Przy tych projektach angażujemy weteranów, kawalerów Orderu

Krzyża Wojskowego, by swoim doświadczeniem i służbą opowiadali o wkładzie Polski w budowanie międzynarodowego bezpieczeństwa i pokoju. Myślę, że ten walor edukacyjny jest bardzo ważny dla społeczeństwa, bo widzimy i zawsze zachwycamy się tym, w jaki sposób weterani traktowani są np. w USA. Chcielibyśmy jako weterani, żeby było podobnie w Polsce. Więc tutaj jest nasza rola, żeby pokazywać społeczeństwu co robimy, czym się zajmujemy. Myślę, że to idzie w dobrym kierunku i dużo już w tym zakresie zostało zrobione.

9 września 2020 r. w Bydgoszczy miało miejsce wyjątkowe wydarzenie. Po raz pierwszy w powojennej historii Polski nadano jednostce wojskowej imię żołnierza poległego podczas służby poza granicami państwa. Zaszczytu takiego dostąpiła tamtejsza Delegatura Departamentu Kontroli Ministerstwa Obrony Narodowej. Patronem tej instytucji został śp. por. Daniel Różyński, poległy w Iraku w dniu 12 września 2004 r. To pierwsza tego typu inicjatywa?

Śp. por. Daniel Różyński był moim kolegą. Razem kończyliśmy szkołę oficerską, mieszkaliśmy praktycznie obok siebie, sala w salę, przez cztery lata, więc bardzo się cieszę, że właśnie Daniel jest pierwszym patronem jednostki wojskowej. To jakby wpisuje się w ten walor edukacyjny, bo właśnie dzięki temu, że jednostki wojskowe będą miały swoich patronów-weteranów możemy propagować współczesnych bohaterów. Wszystkie jednostki wojskowe odnoszą się do ludzi i tradycji walk niepodległościowych, pamięci o Żołnierzach Wyklętych. Centrum Weterana zachęca jednostki wojskowe również do tego, żeby sięgały do współczesnej historii. Tutaj „jaskółka” jest bydgoska Delegatura Departamentu Kontroli MON, a wybiegając do przodu powiem jeszcze, że będziemy namawiać pozostałe delegatury Departamentu Kontroli MON, żeby również za swoich patronów wzięły żołnierzy poległych podczas misji. Podejmujemy także starania, aby żołnierze polegli wpisywali się w historię miejsc, w których służyli, albo historię miejsc, w których mieszkali. Przykładem jest Dzierżoniów, gdzie mieszkał i wychowywał się mjr Krzysztof Woźniak, żołnierz JW GROM, który zginął w Afganistanie 23 stycznia 2013 roku. Władze samorządowe już kilka lat temu podjęły uchwałę o budowie obelisku upamiętniającego Jego postać oraz Jego imieniem i nazwiskiem nazwano też jedną z miejskich alei. To jest naprawdę piękna rzecz. Byłem tam, odwiedzałem Jego rodziców. Sporo mamy jeszcze do zrobienia, ale już mamy pierwsze symptomy tego, że ludzie zaczynają sięgać do współczesnych tradycji.

Dlaczego to tak długo trwało? Przecież weterani zagranicznych misji wojskowych, o czym wspominaliśmy, pojawili się już w latach pięćdziesiątych. Siegamy po bohaterów II wojny światowej, Żołnierzy Wyklętych, a weterani są jakoś ustawieni tak z boku.

Dlatego, że tradycje walk wyzwoleniczych i niepodległościowych są u nas bardzo mocno zakorzenione. W podręcznikach do historii, w programach telewizyjnych, podczas świąt państwowych mówimy przede wszystkim o historii do 1945 roku. Natomiast jak na lekarstwo jest ta wiedza o misjach poza granicami państwa. Zazwyczaj wspominamy o weteranach 29 maja (Dzień Weterana) oraz 21 grudnia (Dzień Pamięci). Dlatego jest to tak ważna misja Centrum Weterana a także wszystkich weteranów jako ambasadorów tej najnowszej historii Polski.

Czy Centrum Weterana planuje jakoś wyróżnić weteranów pod względem np. umundurowania

idąc śladami dawnych powstańców, którzy mieli swój rodzaj mundurów, czy emblematów?

Każda osoba, która odchodzi z wojska i idzie do cywila, może zwrócić się do Ministra Obrony Narodowej o zgodę na używanie umundurowania. Tak naprawdę po baretkach na mundurze już widać, kto z żołnierzy był na misji. Żołnierz poszkodowany również ma odznakę za „Rany i Kontuzje”, która jest odznaką nawiązującą tak naprawdę do przedwojennych tradycji i do Orderu Virtuti Militari. Nie zdradzę tajemnicy, że pracujemy w Ministerstwie Obrony Narodowej także nad wprowadzeniem szewronów - oznaczeń na rękawach mundurów wyjściowych i galowych, które będą też oznaczały liczbę misji, jakie żołnierz przeżył w strefie działań bojowych. To jest na razie projekt, który jest bardzo bliski realizacji.

Jakiś czas temu znowelizowano ustawę o weteranach. Wprowadzono w niej zapisy prostujące dotąd istniejące niedogodności. Czy są jeszcze jakieś zamiary wprowadzenia do niej poprawek ułatwiających weteranom funkcjonowanie w przestrzeni publicznej? Czy Centrum Weterana monitoruje takie potrzeby?

Aktualnie monitorujemy wdrażanie znowelizowanej ustawy oraz rozporządzeń wykonawczych. Reagujemy na wszystkie zgłoszenia od weteranów w tym zakresie. Oczywiście cały czas rozmawiamy w środowisku o potrzebach weteranów i rodzin poległych. Patrzymy w przyszłość.

Czy monitorujecie losy żołnierzy-weteranów?

Nie śledzimy weteranów. Natomiast wielu z nich jest z nami w kontakcie i tak naprawdę widzimy czym się zajmują i co robią. Wiele z nich pracuje wykorzystując nabyte w wojsku umiejętności. Staramy się nawiązywać współpracę z organizacjami pozarządowymi, które również działają na rzecz weteranów, a przede wszystkim na rzecz aktywizowania ich po służbie.

SPECIAL OPS



PROFESJONALNIE O PROFESJONALISTACH



WWW.SPECIAL-OPS.PL

ROZMAWIAŁ: KRZYSZTOF MĄTECKI
ZDJĘCIA: ARCH. ZACHARA

DOŚWIADCZENIE TO NAJLEPSZY NAUCZYZIEL

MAJOR WOJCIECH ZACHARKÓW „ZACHAR” JEST BYŁYM ŻOŁNIERZEM WOJSK SPECJALNYCH. W LATACH 2011–2017 BYŁ KIEROWNIKIEM SELEKCJI DO JW AGAT. PRZEZ 6 LAT SŁUŻBY W JEDNOSTCE WOJSK SPECJALNYCH ODPOWIEDZIALNY BYŁ MIĘDZY INNYMI ZA REKRUTACJĘ DO JEDNOSTKI, KURSY BAZOWE I SZKOLENIA SPECJALISTYCZNE. W CZASIE SVOJEJ 20-LETNIEJ SŁUŻBY UCZESTNICZYŁ W 4 MISJACH BOJOWYCH W IRAKU, AFGANISTANIE I CZADZIE. ZA UDZIAŁ W MISJACH ODZNACZONY ZOSTAŁ M.IN. „KRZYŻEM ZASŁUGI ZA DZIELNOŚĆ”. AKTUALNIE PROWADZI DZIAŁALNOŚĆ SZKOLENIOWĄ „ZACHAR TRAINING GROUP”, MAJĄCĄ NA CELU PRZYGOTOWANIE KANDYDATÓW DO WOJSK SPECJALNYCH, DO TESTÓW SPRAWNOŚCIOWYCH I DO SELEKCJI.

Służyłeś w 10. batalionie zmechanizowanym Dragonów w Świętoszowie, byłeś między innymi dowódcą kompanii w czasie misji w Czadzie w 2008 roku. Jak trafiłeś do JW AGAT i jak przygotowywałeś się do udziału w selekcji do Jednostki?

Po powrocie z Czadu przeniosłem się ze Świętoszowa do Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Gliwicach.

Z Oddziału Specjalnego wyjechałem na misję do Afganistanu, na VII zmianę. Po powrocie z Afganistanu w bardzo krótkim czasie przyszły rozkazy o przeformowaniu Oddziału Specjalnego w Jednostkę Wojskową AGAT.

Podczas misji w Afganistanie trenowałem już pod kątem selekcji, moje treningi opierały się na ćwiczeniach ukierunkowanych na testy sprawnościowe, tj. drążek, brzuszki, poręcze, FBW, a także na treningach biegowych. Biegałem i chodziłem z plecakiem z obciążeniem wokół bazy.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy o pomysśle stworzenia JWA, ale trenowałem z myślą o wstąpieniu w przyszłości do Wojsk Specjalnych. Chyba tak ma każdy żołnierz, który otarł się o specjalsów na misjach.

Po powrocie z Afganistanu, oprócz rozwijania sprawności motorycznych, podlegających testom z WF-u, jednocześnie trenowałem

pod kątem etapu górskiego, biegając z plecakiem maksymalnie 10 kg 20-kilometrowe pętle w górach oraz wykonywałem wielokilometrowe marsze z dużym obciążeniem, ale nie tylko w górach.

Mój mikrocykl tygodniowy wyglądał tak, że średnio wychodziło po 2–3 jednostki treningowe dziennie. Taki ciężki trening nie był dla mnie dużym problemem, ponieważ sport zawsze był w moim życiu. Zaczynałem od sportów walki (karate shotokan, taekwondo, kravmaga), a solidną bazę treningową dały mi przygotowania i starty w zawodach triathlonowych oraz liczne kursy specjalistyczne, gdzie zdobywałem tytuły instruktorskie (strzelectwo, wspinaczka, narciarstwo, ćwiczenia siłowe).

Dużą dawkę wiedzy, która uporządkowała moje doświadczenia związane z wszechstronnym treningiem, zdobyłem również, studiując AWF we Wrocławiu w ramach studiów magisterskich.

Jak wspominasz swoją selekcję do JW AGAT? Co dla Ciebie było w niej najtrudniejsze?

Selekcję do AGAT-u poprowadził nam wtedy twórca jednostki, śp. płk Sławomir Berdychowski („Czarny”). Uczestnikami była czołowa

kadra dowódcza jednostki; jechaliśmy w Bieszczady w poczuciu, że przecież ta selekcja nie będzie taka ciężka, bo przecież Dowódca nie będzie chciał się pozbyć swoich bezpośrednich podwładnych. Było nas wtedy 10, dlatego Dowódca mógł być jednocześnie kierownikiem i instruktorem tej selekcji.

Podejście, że jedziesz na selekcję z myślą, że nie będzie ciężko, jest jedną z najgorszych rzeczy, które sam możesz sobie zrobić. Organizm wtedy „odpuszcza” i najdrobniejsza niewygoda może nam podpowiadać: „weź zrezygnuj”. Masz jechać zdezeterminowany, oczekiwać najgorszego, ale być pewnym tego, że sobie poradzisz.

Na miejscu okazało się, że Pan Pułkownik podszedł bardzo poważnie do tego zadania, rozpoczynając selekcję marszem zespołowym, narzucając nam bardzo mocne tempo. Całe zadanie polegało na znajdowaniu w trakcie marszu punktów charakterystycznych w terenie, za pomocą mapy i kompasu.

Selekcja była prowadzona według programu, jaki opracował płk Berdychowski, bazując na doświadczeniu, jakie wyniósł z Jednostki Wojskowej GROM, gdzie również był odpowiedzialny za prowadzenie Selekcji.

Oto fragment z jej programu:

„Program kursu opracowany został w oparciu o elementy kursów selekcyjnych jednostek specjalnych uznanych za najlepsze w świecie, w tym US Army Special Forces, SAS, Delta Force. Ponadto wykorzystano istniejące już metody wypracowane i sprawdzone w Wojskach Specjalnych”.

W trakcie selekcji odpadł jeden uczestnik. Wtedy Dowódca nie miał żadnych skrupułów w stosunku do swojego oficera. Wówczas pojawiła się w oczach Dowódcy coś jakby pogarda i zawód jednocześnie – dla nas wtedy było jasne, że „Czarny” się „nie pierdoli”.

Najgorzej wspominam dzień marszu indywidualnego według mapy, kiedy wystartowałem jako pierwszy, ponieważ osiągałem w poprzednich dniach najlepsze wyniki. To była nagroda za to, że miałem najlepsze wyniki z poprzednich dni i dzięki temu dostałem najwięcej czasu na wykonanie zadania, bo zadania miały limit czasowy od 8:00 do 20:00. Kolejni po mnie startowali w odstępach czasowych. Tak samo później realizowałem to zadanie jako kierownik selekcji.

Gdy znalazłem bardzo szybko pierwszy punkt, zbyt duża pewność siebie wzięła górę i straciłem orientację w trakcie nawigowania na drugi punkt. Przedłożyłem tempo marszu nad dokładność nawigowania.

Nagle okazało się, że wychodząc z lasu, znalazłem się na środku jeziora. Pech chciał, że nie dało rady go obejść ani z lewej, ani z prawej, dlatego musiałem wrócić się trasą, którą zbiegałem z bardzo stromej góry (Chryszczata) i zacząć szukać drugiego obejścia. Wtedy usiadłem i lekko się załamałem, że nie wyrobię się w czasie, bo powrót grzbietem, którym zbiegałem, mógł mi zabrać kolejne dwie godziny. Włączył się stres i wpadłem w panikę.

Nie chciałem podejmować decyzji co do dalszej drogi w tym stanie. Ale przecież musiałem jakąś podjąć, bo brak decyzji jest gorszy od złej decyzji. Wtedy usiadłem, wyjąłem suchą rację, zjadłem kawałek czekolady, napiłem się wody, ochłoniąłem, wziąłem się w garść, spałem pośladki i zacząłem się wspinać z powrotem pod górę.

Obszedłem jezioro i wróciłem na trasę marszu, tracąc na to około 3 godziny.



Twoim zdaniem selekcja jest bardziej wymogiem fizycznym czy psychicznym?

Jedno i drugie, z większym naciskiem na psychicznym. Nie da się przejść nie przygotowując się fizycznie do tego rodzaju wysiłku, licząc tylko na to, że uda się to tylko dzięki sile woli. Ciężkie, żmudne treningi fizyczne pod kątem selekcji kształtują charakter i uczą nie rezygnować. Ponadto powodują, że im częściej i bardziej zbliżamy się do granic naszej wytrzymałości, tym bardziej one się od nas odsuwają pokazując w ten sposób, że jesteśmy w stanie znieść o wiele więcej niż nam się wydawało. Na selekcji pojawiają się momenty, kiedy fizycznie nie jesteśmy w stanie czegoś zrobić, wtedy bardzo ważną rolę odgrywa „głowa”, dlatego ważne jest, żeby być na tyle fizycznie przygotowanym, żeby to ciało nie odmówiło nam posłuszeństwa na selekcji zbyt szybko.

Byłeś kierownikiem Selekcji do JW AGAT. Jaka jest różnica w postrzeganiu selekcji przez uczestnika, a jaka przez instruktora?

Instruktor ma za zadanie zadawać uczestnikom wielokrotnie taki „ból”, żeby odsiać tych najsłabszych i móc później wybrać tych najlepszych pod kątem psychofizycznym bez wyrzutów sumienia. Czyli ma być tak ciężko, jak on miał wcześniej, a może nawet jeszcze bardziej.

A uczestnicy mają za zadanie dotrzeć wielokrotnie do swoich granic, pokonać ból, cierpienie, brak snu, brak wody i pożywienia oraz wykazać się wolą walki i innymi cechami, jakie są wymagane dla przyszłych żołnierzy WS.

Czy przygotowując Selekcję, korzystałeś ze swoich doświadczeń zdobytych podczas tej własnej?

Tak. Dla mnie doświadczenie to najlepszy nauczyciel. Jeśli czegoś nie przeżyłeś na własnej skórze, czy to porażki, z której jednak potrafiłeś się podnieść i osiągnąć zamierzony sukces, czy to właśnie ten sukces, który uwierzył twój dotychczasowy trud, poświęcenie i wyrzeczenia.

Ja jako kierownik selekcji miałem o tyle komfort, że podczas mojej pierwszej selekcji był obecny nasz Dowódca, który udzielał mi pewnych wskazówek na co zwracać uwagę. Ale nie były to techniczne uwagi, a jedynie takie, które dotyczyły filozofii selekcji. To była dla mnie ogromna nauka, przyjmując takie lekcje od Dowódcy, który prowadził selekcje i szkolenie podstawowe w JW GROM.

Pamiętam, jak siedząc przy ognisku w bazie w Rabie, podczas mojej pierwszej selekcji w roli kierownika, pierwszy tydzień paździer-



nika 2011 roku, dzień przed zadaniem w postaci marszu indywidualnego na azymut, nagle dotarło do mnie, że jutro ponad 50 uczestników będzie ruszało na punkty!

Kiedy my robiliśmy to zadanie na pierwszej selekcji, było nas 10 i każdy zaczynał od innego punktu! A nie otrzymałem od Dowódcy wytycznych, jak to zrobić!

Nie mogli przecież wszyscy iść na te same punkty jednocześnie, instruktorzy na punktach też musieli mieć wytyczne, jaki numer wysyłać na jaki następny punkt itd.! A ambicja nie pozwalała mi dzwonić do Dowódcy i spytać, jak to zrobić...

Ale już miałem opracowaną metodę radzenia sobie w stresie, limicie czasu i przy braku komfortu. Wtedy spałem jako kierownik w moim dwuosobowym namiocie z moim psem huskim, więc nie było warunków na pisanie na komputerze czy nawet drukowanie.

Ale udało się. Stworzyłem „na kolanie” przy ognisku system, który później przez wiele lat był wykorzystywany nawet do wyboru nowych miejsc do tego zadania, żeby utrzymywać wymagania programu. Wykorzystuję ten system nawet dziś, organizując moje szkolenia.

Doświadczenie też pomogło mi pod kątem wyboru i przygotowania kadry instruktorskiej, która powinna być równie mocno fizycznie przygotowana jak kandydaci, a nawet lepiej.

Pułkownik Berdychowski chciał, żebyśmy jako instruktorzy nie mieli wcale lepszych warunków na selekcji od uczestników, dlatego spaliliśmy np. całe tygodnie pod namiotami. Ja w ten sposób spędziłem cały październik w 2011 r. pod namiotem, prowadząc 4 selekcje pod rząd.

W ten sposób chciał chyba też, żebyśmy byli „wkurwieni” i przenosili tę agresję na kandydatów, ale żeby też kandydaci widzieli, że instruktor na selekcji to jest kozak. Wytrzymały fizycznie, nie potrzebuje wygód, że w Jednostce lubimy się „przywierdalać”.

Doświadczenie też pozwalało mi określać, jak mocno można przykręcić śrubę i nie odpuścić za szybko.

Czy każda Selekcja jest do siebie podobna, czy za każdym razem jest inna?

Żadna Selekcja nie jest podobna do poprzedniej. Nie może być.

Mimo że istnieje program selekcji, który zawiera pewien schemat jej przeprowadzenia, metodykę, bo to ułatwia organizację. Nie zawsze też jest taka sama pogoda, miejsce oraz czasy wykonania zadań. Ważne jest jednak, aby utrzymać zawsze bardzo wysoki poziom trudności. Na przykład ja bardzo często zmieniałem trasę maratonu, bazy noclegowe kandydatów i punkty na azymut, aby nie było tak samo jak na poprzedniej selekcji.

Jak według ciebie najlepiej przygotować się do Selekcji? Na co zwrócić szczególną uwagę?

Na początku trzeba stworzyć sobie roczny plan przygotowań i trzymać się go. Plan też to „żywy dokument”, bo różne sytuacje są w życiu i mogą powodować zmiany, ale jakiś fundament musi być. Funda-



ment, który powie nam, kiedy progresować, kiedy wpłatać treningi specjalistyczne, kiedy wyjeżdżać w góry, bo nasze rodziny też muszą być na to przygotowane. Że ten czas poświęcimy na przygotowania i też musimy liczyć na ich wsparcie i wyrozumiałość.

Trzeba pogłębiać wiedzę na temat selekcji z każdych możliwych źródeł. A tego teraz jest pełno – w prasie, tv, internecie, książkach, na szkoleniach oferowanych przez różne firmy.

Trzeba trenować bardzo ciężko, ale z głową, z planem i pamiętać o odpowiedniej suplementacji, regeneracji, fizjoterapii.

Zacząć kompletować odpowiednie wyposażenie dużo wcześniej i trenować z nim. Brać udział w różnych eventach o charakterze zbliżonym do selekcji.



Co byś mógł dzisiaj odpowiedzieć wszystkim, którzy chcą przystąpić do selekcji?

Po pierwsze, aby upewnić się, że to jest właściwa decyzja, że chcą służyć w Wojskach Specjalnych, ponieważ realia służby w Wojskach Specjalnych są trochę inne niż te pokazywane w internecie czy w filmach. Ta służba jest niesamowicie wymagająca i niebezpieczna. Ponadto wymaga 100% poświęcenia i zaangażowania. To nie 8-godzinny dzień pracy. To przez cały rok służba na najwyższych obrotach, to nieustanny rozwój i życie poza domem.

Kiedyś obliczyliśmy, że nie wyjeżdżając na misję spędzamy 9 miesięcy poza domem na poligonach, ćwiczeniach, szkoleniach, kursach. Mówię tu o pododdziałach bojowych.

Po drugie, trzeba „zapierdalać” na treningach, bytować w gó-



rach przy minimalnym wyposażeniu i w najtrudniejszych warunkach, przygotowywać się mentalnie na najtrudniejszy do tej pory w życiu egzamin.

Czy podczas Selekcji dobór sprzętu i wyposażenia jest również istotny, jak przygotowanie fizyczne i psychiczne?

Jeżeli kandydat jest wystarczająco dobrze przygotowany fizycznie i mentalnie, jest w stanie przejść selekcję nie mając wyposażenia

odpowiedniej jakości, natomiast zdarzały się przypadki, że kandydaci rezygnowali ze względu na zły dobór wyposażenia do warunków selekcji.

Dlatego jest to istotny element, który może przyczynić się do wyniku selekcji, ale nie może być traktowany na zasadzie, że sprzęt wybacz braki w przygotowaniu.

Teraz jest niestety taki trend, że na rynku mamy niesamowity wybór różnego rodzaju sprzętu outdoorowego i może dojść do takiej sytuacji jak wśród niektórych żołnierzy w służbie, którzy liczyli na to, że lepszy sprzęt podniesie znacząco ich zdolność bojową.

Czynnik ludzki wg mnie jest zawsze ważniejszy i nie można odpuszczać na szkoleniach i treningach, bo mamy zajebisty sprzęt, świetnie w nim wyglądamy i on pomoże wybaczyć nam nasze błędy.

Ja z kolei traktowałem na równi oba elementy: żeby być bardzo dobrze przygotowanym fizycznie i mieć dobry sprzęt, który przede wszystkim mnie nie zawiedzie.

Czy jest coś, co obowiązkowo należy zabrać na Selekcję?

Jeśli chodzi o wyposażenie, to każda z jednostek przedstawia kandydatom listę wyposażenia obowiązkowego, które musi mieć przy sobie przez cały okres trwania selekcji. Każdy z tych elementów ma bardzo ważne znaczenie, żeby pomóc przetrwać w górach 5–6 dni,



w trudnych warunkach pogodowych (deszcz, śnieg), wykonując trudne zadania.

Ale tak w skrócie i ogólnikowo, to co mi przychodzi na pierwszą myśl, to według mnie camelbak – to podstawa, dobry kompas (Silva Expedition lub karrimor), lekkie wytrzymałe buty turystyczne (modele typu GTX) i druga para wygodnych butów sportowych, np. trailowych, wygodny plecak ale turystyczny, nie militarny, odzież zewnętrzna wodoodporna typu gore-tex pack&lite, kurtka puchowa z kapturem min. 650 CUI, stuptuty, śpiwór syntetyczny, pokrowiec bivibag, karmata składana.

Ale sądzę, że lepiej tu pasuje stwierdzenie, żeby zabrać ze sobą pewność siebie, że uda się zaliczyć selekcję, być otwartym na nowe sytuacje i szybko się do nich adaptować, myśleć o tym, co jest tu i teraz, a nie o tym, ile jeszcze przede mną – być przygotowanym na najgorsze.

Czy można zostać wyrzuconym z Selekcji?

Oczywiście, że można:

- za nieprzestrzeganie ustalonych zasad i reguł, określonych przez kierownika na początku selekcji.
- za brak dyscypliny,
- za niewykonanie zadań, m.in. niespełnienie norm czasowych,
- za naruszenie warunków bezpieczeństwa,
- za zagubienie elementów obowiązkowego wyposażenia, które jest sprawdzane kilkakrotnie podczas trwania Selekcji,

- za brak umiejętności pracy w zespole oraz innych wymaganych cech profilu psychologicznego kandydata.

Czy istnieje problem głodu podczas Selekcji? Czy jest jakaś metoda, by poradzić sobie z głodem?

Tak. W każdej jednostce można spotkać różną specyfikę odnośnie wydzielania suchych racji. Kiedy ja byłem kierownikiem selekcji, zgodnie z wymogami programu kandydat dostawał dzienną porcję suchej racji żywnościowej. Dla niektórych były to wystarczające porcje ale ci o większej masie czy szybszym metabolizmie nie byli w stanie uzupełnić wystarczającej liczby kalorii. Wysiłek moim zdaniem podczas selekcji może pochłaniać 6–8 tys. kcal dziennie, może i więcej, kiedy dobowa racja przewiduje ponad 3 tys.

Z głodem można sobie poradzić. Upraszczając ten aspekt fizjologiczny, kiedy za mało dostarczamy paliwa do organizmu, wtedy uzupełniamy energię z kwasów tłuszczowych. Dlatego warto mieć określony poziom tkanki tłuszczowej, która jest naszym zapasowym źródłem energii; moim zdaniem może to być około 12–14% u mężczyzny. Dlatego też trzeba tak się przygotowywać, aby nauczyć organizm, czyli zaadaptować go do wydawniejszego korzystania z tłuszczów. Ale przede wszystkim tak, żeby czerpać z nich energię nie tylko kiedy one są do tego przystosowane, czyli podczas niskich i średnich intensywności, ale i podczas tych wysokich. Czyli odpowiednia dieta i trening.

Ważne też, żeby trenując odżywiać się czasami tymi produktami, które będą wykorzystywane podczas Selekcji (suche racje lub produkty z listy do selekcji).

Inną metodą jest przygotowanie naszych hormonów, greliny i leptyny, czyli hormonów głodu i sytości, do tego, żeby nie utrudniały nam funkcjonowania podczas Selekcji. Można nad nimi zapanować.

Ostatnią metodą jest znajomość niektórych technik survivalu w kontekście pozyskiwania pożywienia w danych warunkach, np. zjadliwa, bogata w węglowodany kora drzew, miazga, inaczej kambium, czy w okresie wczesnojesiennym buczyna, igły sosny oraz wiele innych roślin. O tym wszystkim, jak to robić, uczyć podczas moich szkoleń.

Czy twoim zdaniem obecnie zmienia się profil kandydatów, którzy biorą udział w selekcji?

Tak. Nie można generalizować, ale jeszcze „za moich czasów” oraz aktualnie podczas moich szkoleń, zauważyłem tendencję pojawiania się coraz słabszych kandydatów pod kątem fizycznym, ale i bardziej



mentalnym. Objawia się to tym, że najczęściej kierują się zasadą: „że jakoś to będzie”, „na pewno nie jest tak ciężko, jak mówią”, „wszystkich nas nie usuną” oraz taki paradoks, że im więcej informacji na temat selekcji jest w internecie i w książkach, tym jednak mniejsza jest świadomość kandydatów, jak ciężko taką selekcję przejść.

Można by się rozpiszać pod kątem aktualnego pokolenia 20-latków, czyli tzw. millenialsów, czy nawet pokolenia „Z” i ich zachowań. Są liczne opracowania na ten temat. Ale to widać wszędzie, w każdej chyba strukturze społecznej, a wynika to z czasów, w jakich żyjemy, i metod wychowawczych.

Dlatego moim zdaniem bardzo ważna jest teraz odpowiednia promocja Wojsk Specjalnych, żeby pokazać młodzieży, że nie jest to łatwa służba, że żeby zostać elitą, to trzeba naprawdę wiele poświęcić, i co robić, w jakim kierunku się rozwijać, żeby później spełniać kryteria naboru, które nie mogą być przecież obniżane przez to, że takie mamy pokolenie teraz!

Czy ze względu na te zmiany poziom trudności Selekcji też się zmienia?

Gdybym dzisiaj wciąż prowadził Selekcję, na pewno program dostosowałbym do tego zjawiska, nie pod kątem zmniejszenia poziomu trudności, ale zadawania tego „ból selekcji” w inny sposób. Gdy wprowadzałem zmiany w programie lub podejmowałem różne decyzje, robiłem to w taki sposób, żeby mieć czyste sumienie, że wspólnie z instruktorami,

którzy w większości służą lub służyli na zespołach szturmowych, wybraliśmy tych najlepszych, tych, którzy będą się nadawać na przyszłych operatorów i będą dumą Jednostki.

Były takie zasady, że nawet jeśli komuś udało się przejść selekcję, ale jego profil psychologiczny był nieodpowiedni, i to wyszło podczas selekcji, to na koniec dowiadywał się, że nie zaliczył.

Dlatego ważne jest, żeby instruktorzy mieli odpowiednią wiedzę psychologiczną. Na selekcję był zabierany psycholog, który przyglądał się kandydatom i ich oceniał oraz miał wpływ na ich dalsze losy.

Może być ktoś bardzo sprawny fizycznie, ale w głowie ma nie-poukładane i to wychodzi podczas selekcji, gdzie to nie tylko są marsze i bieganie po górach. Ale może być ktoś słaby fizycznie, ledwo zaliczać wymagania, ale mieć dużą wolę walki – ta niezłomność, wytrwałość pozwoli później naprawić te fizyczne niedociągnięcia.

Ale na szczycie przed Selekcją jest etap testów psychologicznych, który już tam odsiewa tych z „tej zmiany”, więc ten program selekcji nie musi być aż tak poprawiany. Częstotliwość prowadzenia selekcji i tak dostarczy wystarczającą liczbę rzetelnie wybranych osób do Jednostki, więc nie ma potrzeby zmniejszać poziom trudności, żeby zwiększyć procent zdawalności.

W JW AGAT byłeś odpowiedzialny również za kursy bazowe (roczne szkolenie podstawowe dla kandydatów, którzy zdali testy sprawnościowe i przeszli selekcję). Czym różni się kurs bazowy od selekcji? Czego mogą spodziewać się kandydaci?

Wypowiedź ta będzie dotyczyła czasów, kiedy ja byłem szefem grupy szkolenia bazowego. A jak to jest aktualnie realizowane, nie powinno być nigdzie opisywane.

Kurs bazowy w kontekście celu znacząco nie różni się od selekcji, bo to też jest pewien etap selekcji – nie wszyscy go kończą.

Powiedzmy, że to drugi z trzech etapów selekcji przyszłego operatora, bo trzecim jest jeszcze służba w zespole, gdzie dalej jest obserwowany i może zostać z niego usunięty.

Wciąż są oni sprawdzani po wieloma kątami, oceniani przez instruktorów i przez siebie nawzajem.

Oprócz technik, taktyk operacji specjalnych i procedur, które muszą nauczyć się bezbłędnie wykonywać, czy to na zmęczeniu, czy pod presją czasu, to też sprawdzanie ich wytrzymałości psychofizycznej.

W programie szkolenia bazowego były odpowiednie arkusze ocen, które wypełniali instruktorzy i po każdym dniu, każdy szkolony miał ocenę, czy to z WF-u, z ogniowego, wysokościówki, taktyki itd. (szkolenie bojowe). Oceniana była dyscyplina wykonawcza, obecność na zajęciach, zaangażowanie na zajęciach, team work itd.

Kursy bazowe, które ja prowadziłem, trwały średnio rok i nawet jeśli komuś udało się zaliczyć kilkudniową selekcję w górach, to najgorsze, i chyba wciąż tak się mówi, wciąż było przed nimi.

Wtedy za 10% nieobecność na jakimkolwiek przedmiocie pisałem wniosek do Dowódcy o usunięcie żołnierza z kursu – więc nie mogli chorować, brać wolnego, spóźniać się itp. Przez rok byli „gośćmi” w swoich domach. Ale bardzo rzadkimi gośćmi.

Szkolenie bazowe dzieliło się na kurs podstawowy i specjalistyczny. Po kursie podstawowym jest najważniejszy sprawdzian, z wielu zagadnień (np. WF, strzelanie itp.) oraz wielodniowe działania taktyczne polegające na planowaniu i wykonaniu operacji specjalnej na szczeblu sekcji bez snu, w limicie czasu.

SPECIAL OPS



3 NUMERY SURVIVAL SPECIAL OPS EXTRA

Wydanie Specjalne SPECIAL OPS EXTRA SURVIVAL nie jest publikacją tylko i wyłącznie o militarnej sztuce przetrwania. Nie jest też rodzajem elementarza z serii „dla opornych” czy zestawem porad dla „niedzielnich turystów” wjeżdżających na Morskie Oko bryczką czy chodzących w góry w „japonkach”.

W pierwszej części łączymy aspekty wojskowe i cywilne, bo tak naprawdę chcąc przetrwać w ekstremalnych sytuacjach należy posiadać świadomość technik, wiedzę i umiejętności z obydwu obszarów.

SPECIAL OPS SURVIVAL 2 skupia się na tematyce sztuki przetrwania zimą, w warunkach niskich temperatur, ograniczonej dostępności pożywienia, działania w terenie skutym lodem lub zakopatym w śniegu.

W trzecim numerze znajdziecie teksty dotyczące pakowania i tworzenia awaryjnego plecaka. Dowiedziecie się też, czym są azymuty, jak je wyznaczać i poruszać się w terenie. Znajdziecie również porady i informacje o technikach filtracji wody. A skoro już będziecie dysponować wodą, warto poznać sposoby parzenia kawy w terenie i przygotowania słodkich przekąsek, które nie tylko dostarczają kalorii, ale mają duże znaczenie psychologiczne.

Wejść i zamów na wydawniczy.pl lub napisz do nas na adres: asergel@medium.media.pl



ROZMAWIALI: KRZYSZTOF MATECKI, TOMASZ ŁUKASZEWSKI
ZDJĘCIA: ŻANDARMERIA WOJSKOWA

SILĄ NASZĄ JEST JEDNOŚĆ

1 WRZEŚNIA 2020 R. MINĘŁO 30 LAT OD DNIA SFORMOWANIA ŻANDARMERII WOJSKOWEJ SIŁ ZBROJNYCH III RP
ROZMAWIAMY Z GEN. BRYG. TOMASZEM POŁUCEM – KOMENDANTEM GŁÓWNYM ŻW, JAK PRZEZ TEN CZAS ZMIAŃAŁA SIĘ
TA FORMACJA.



W 2020 roku Żandarmeria Wojskowa obchodziła 30-lecie sformowania. Jak można scharakteryzować formację, którą Pan Generał dowodzi i jakie są jej główne zadania?

Żandarmeria Wojskowa, która jest wyodrębnioną i wyspecjalizowaną służbą o charakterze policyjnym, podlegającą bezpośrednio Ministrowi Obrony Narodowej, została sformowana 1 września 1990 roku. Jej zadania, uprawnienia i właściwość określa Ustawa o Żandarmerii Wojskowej i wojskowych organach porządkowych z 24 sierpnia 2001 roku.

Do jej najważniejszych zadań należy zapewnienie przestrzegania dyscypliny wojskowej, ochranianie porządku publicznego na terenach wojskowych i w miejscach publicznych, udzielanie wsparcia policyjnego wojskom operacyjnym, zapewnienie im płynności manewru i dbanie o bezpieczeństwo żołnierzy odbywających szkolenia poligonowe. Dotyczy to również wojsk sojuszniczych, które na stałe zagościły w naszym kraju. Żandarmeria prowadzi również czynności prewencyjne i wykrywcze w zakresie przestępstw, wykroczeń i innych zjawisk patologicznych w Siłach Zbrojnych RP. Ustawowe zadania są realizowane przez pionów prewencji, dochodzeniowo-śledczy i kryminalny.

Podsumowując, żandarmi już 30 lat stoją na straży przestrzegania dyscypliny i praworządności w Wojsku Polskim, dbają, by żołnierska służba była bezpieczna i zgodna z przepisami. Jak przez te trzy dekady zmieniła się Żandarmeria Wojskowa?

Za nami 30 lat ciężkiej służby i wielu zmian, które są efektem przede wszystkim ścisłej korelacji Żandarmerii Wojskowej z Siłami Zbrojnymi RP. Procesy reorganizacyjne związane ze zmianami lokalizacji i struktur poszczególnych jednostek ŻW, modernizacja, uaktualnienie katalogu zadań miały związek z transformacją i profesjonalizacją polskich sił zbrojnych, pojawieniem się nowych zjawisk patologicznych, takich jak chociażby korupcja czy cyberprzestępczość, oraz zagrożeń terrorystycznych.

Szczególne pod względem zmian organizacyjnych były lata 2010 i 2011. Zakończona 30 czerwca 2011 roku reforma dostosowała lokalizację i wielkość poszczególnych jednostek ŻW do miejsc stacjonowania kluczowych związków taktycznych i instytucji Wojska Polskiego. Od 1 lipca 2011 roku na mapie Polski znajduje się 6 oddziałów terenowych ŻW – w Szczecinie, Elblągu, Bydgoszczy, Warszawie, Żaganiu i Krakowie – 2 oddziały specjalne w Warszawie i Mińsku Mazowieckim oraz Centrum Szkolenia ŻW w Mińsku Mazowieckim. Żandarmeria Wojskowa posiada ponadto własną, wyspecjalizowaną jednostkę odpowiedzialną za zabezpieczenie logistyczno-finansowe bieżącej działalności całej formacji. Mowa tu o Oddziale Zabezpieczenia ŻW w Warszawie, będącym odpowiednikiem Wojskowych Oddziałów Gospodarczych.

Wracając do Pańskiego pytania, odpowiem, że Żandarmeria Wojskowa na przestrzeni ostatnich 30 lat zmieniła się podobnie jak Wojsko Polskie. Jesteśmy formacją nowoczesną, w pełni uzawodowioną, przygotowaną do zwalczania światowych zagrożeń, przystosowaną



do potrzeb współczesnych sił zbrojnych, posiadającą ugruntowaną pozycję w systemie reagowania kryzysowego państwa.

Z jakich działań i osiągnięć żołnierzy Żandarmerii Wojskowej jest Pan Generał najbardziej dumny?

Każda aktywność służbowa żołnierzy Żandarmerii Wojskowej zrealizowana na wysokim poziomie, z gruntowną znajomością żandarmskiego rzemiosła i z pełnym zaangażowaniem jest powodem do dumy. Renomę i pozycję firmy budujemy każdego dnia, buduje ją każdy żandarm – od szeregowego po generała. Efektem wysokich wyników działalności służbowej jest udział Żandarmerii Wojskowej w szeregu przedsięwzięć, również międzynarodowych. Do najważniejszych należą: wizyty w Polsce papieża Jana Pawła II, Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej EURO 2012, Szczyt NATO, Światowe Dni





Młodzieży, Szczyt Klimatyczny COP24, ewakuacja obywateli polskiego pochodzenia z obszaru Republiki Ukrainy, wizyty prezydentów Stanów Zjednoczonych Baraka Obamy i Donalda Trumpa. Mówiąc tu o naszym zaangażowaniu, muszę zaznaczyć, że żandarmi realizowali podczas tych przedsięwzięć szerokie spektrum zadań – od zadań stricte prewencyjnych, poprzez ochronne i operacyjno-rozpoznawcze, po kontrterrorystyczne.

Warto również wspomnieć o sukcesach Żandarmerii Wojskowej w zwalczaniu zjawisk patologicznych w siłach zbrojnych, zwłaszcza korupcji, która nadal jest istotnym problem społecznym, a obronność jest jedną z dziedzin najbardziej nią zagrożonych. Zamówienia na dostawę sprzętu i wyposażenia o znacznej wartości, inwestycje budowlane i modernizacyjne sprzyjają zachowaniom korupcyjnym, takim jak zmowy przetargowe, wykorzystywanie środków budżetowych dla osobistych korzyści, ujawnianie informacji z postępowań przetargowych, nepotyzm czy łapownictwo. Dlatego w szczególności koncentrujemy się na działaniach wykrywczych, efektem których jest szereg postępowań karnych wszczętych przez Żandarmerię Wojskową oraz wniosków skierowanych do prokuratury. Bardzo istotne są w tym obszarze prowadzone przez nas czynności prewencyjne. Mam na myśli gromadzenie i analizowanie oświadczeń o stanie majątkowym żołnierzy zawodowych oraz realizacja programu profilaktycznego, którego celem jest promocja właściwych postaw antykorupcyjnych i edukacja dotycząca współczesnych form korupcji.

Nawiązując do bieżących wydarzeń, muszę wspomnieć również o dużym zaangażowaniu Żandarmerii Wojskowej w walkę z COVID-19. Żandarmi wspierają służby podległe MSWiA i Służbę Zdrowia w działaniach zmierzających do zminimalizowania rozprzestrzeniania się koronawirusa. Wspomnę, że 13 czerwca, dzień Święta Żandarmerii Wojskowej, który miał być szczególny ze względu na 30-lecie powołania formacji, żandarmi zamiast na uroczystych apelach

i zbiórkach spędzili na służbie. Chciałbym im w tym miejscu bardzo podziękować.

Jakie warunki trzeba spełnić, aby starać się o przyjęcie do służby w Żandarmerii Wojskowej?

W wielkim skrócie, kandydat musi mieć obywatelstwo polskie, co najmniej 175 cm wzrostu – to kryterium nie dotyczy kobiet, musi być zdrowy, sprawny fizycznie i niekarany sądowo. Wobec każdego kandydata prowadzone jest postępowanie kwalifikacyjne, podczas którego potwierdzamy, czy posiada on predyspozycje do pracy w Żandarmerii Wojskowej oraz czy spełnia warunki do służby w Żandarmerii Wojskowej określone w dokumentach normatywnych. Kwalifikacje są przysłowiowym sitem, dzięki któremu trafiają do nas najlepsi z najlepszych. Możemy sobie pozwolić na bardzo restrykcyjne zasady rekrutacji, ponieważ zainteresowanie służbą w formacji nie słabnie. Coraz więcej jest również pań, które marzą o służbie w Żandarmerii Wojskowej.

Wszystkich zainteresowanych wstąpieniem w nasze szeregi chciałbym poinformować, że szczegółowe informacje znajdują na stronach internetowych Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej i oddziałów terenowych. Są tam również dane teleadresowe do komórek kadrowych, które z pewnością odpowiedzą na każde pytanie.

Żandarmeria Wojskowa może poszczycić się jednostkami specjalnymi. Jaka była geneza ich powstania, jakie realizują zadania, czym się różnią?

Na decyzję o sformowaniu żandarmskich jednostek specjalnych wpłynęło kilka czynników: transformacja Sił Zbrojnych RP, zagrożenie międzynarodowym terroryzmem i przestępczością zorganizowaną, podjęte zobowiązania międzynarodowe i konieczność posiadania takich pododdziałów operacyjnych, które byłyby zdolne do realizacji zadań policyjnych w misjach pokojowych, stabilizacyjnych oraz humanitarnych NATO, ONZ i UE.

Powstały zatem oddziały specjalne, których zaletą jest hybrydowy, policyjno-wojskowy charakter, duża mobilność i zdolność do natychmiastowego przerzutu i użycia w rejonie operacji, modułowa struktura organizacyjna oraz profesjonalna kadra wyposażona w sprzęt najnowszej generacji.

Jako pierwszy w 2004 roku powstał Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Warszawie, którego domeną są działania antyterrorystyczne i ochrona specjalna. Do głównych zadań tej jednostki należy m.in. wykonywanie czynności ochronnych wobec kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej i wojskowych delegacji zagranicznych. Żołnierze oddziału dbają o bezpieczeństwo osób ochranianych na terenie kraju i za granicą. Dotyczy to także miejsc o podwyższonym ryzyku, włączając w to strefy wojenne, takie jak Afganistan czy Irak.

Wśród obowiązków oddziału znajduje się również przeciwdziałanie oraz fizyczne zwalczanie aktów terrorystycznych na terenie jednostek wojskowych i instytucji podlegających Ministerstwu Obrony Narodowej. W pozostałych przypadkach oddział współpracuje z innymi formacjami i jednostkami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo oraz porządek publiczny.

Należy również wspomnieć o udzielaniu pomocy zarówno policji w razie zagrożenia bezpieczeństwa i porządku publicznego, jak i zapewnieniu wsparcia policyjnego oddziałom oraz pododdziałom Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej wydzielanym do użycia w sy-

tuacjach kryzysowych wynikających z zagrożeń terrorystycznych oraz udział w realizacji zadań w celu przeciwdziałania aktom terrorystycznym na lądzie, wodzie i z powietrza. OSŻW w Warszawie bierze również udział w poszukiwaniu oraz zatrzymywaniu szczególnie niebezpiecznych przestępców.

W 2005 roku sformowano kolejne dwie jednostki specjalne – Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim i Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Gliwicach, na bazie którego 1 lipca 2011 roku powstała jednostka Wojsk Specjalnych AGAT.

Oddział Specjalny ŻW w Mińsku Mazowieckim jest przeznaczony do działań o charakterze manewrowym, głównie stanowiąc wsparcie policyjne dla jednostek Sił Zbrojnych RP biorących udział w misjach, oddziałów i pododdziałów SZ RP oraz sił MSWiA, których czynności koncentrują się na przeciwdziałaniu terroryzmowi, zapobieganiu klęskom żywiołowym i likwidacji ich skutków. Rolą oddziału jest też zapewnianie, w ramach państwa gospodarza, zabezpieczenia policyjnego wojsk sojuszników, które przebywają na terytorium Polski.

Żołnierze o jakich predyspozycjach i umiejętnościach są wybierani do służby w oddziałach specjalnych Żandarmerii Wojskowej?

Podczas kwalifikacji do oddziałów specjalnych stawiamy na: inteligencję, sprawność fizyczną, odporność psychiczną oraz ogromną motywację kandydatów. Nasze wieloletnie doświadczenie pozwoliło na wyszczególnienie odpowiednich cech osobowych, które gwarantują prawidłowy tok realizacji przyszłych zadań. Dotyczy to zarówno kandydatów żołnierzy, przedstawicieli innych służb, jak i osób cywilnych.

Dodatkowo kandydaci do OSŻW w Warszawie muszą prze-trwać słynący ze swojej trudności „Hell Week”. Czy może Pan zdradzić Czytelnikom nieco szczegółów dotyczących selekcji?

Motto warszawskich specżandarmów brzmi „Siłą naszą jest jedność”, poszukują więc ludzi, którzy są w stanie stworzyć zgrany, mocny, niezawodny zespół. Nie szukają indywidualistów, bohaterów, tylko ludzi, dla których zawołanie „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” nie jest pustym frazesem. Stąd między innymi bazujący na systemie szkolenia Navy Seals „Hell Week”, czyli pięciodniowe szkolenie certyfikujące kończące czteromiesięczny kurs podstawowy dla kandydatów do Wydziału Działań Specjalnych i Wydziału Ochrony Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie prowadzone przez doświadczonych instruktorów oddziału.

Podczas „Hell Weeka” kandydaci przez 24 godziny na dobę są poddawani presji psychicznej i fizycznej. Instruktorzy obserwują, jak radzą sobie z zadaniami oraz jak ze sobą współpracują w tych ekstremalnych warunkach. I choć z każdą godziną szkolenia skala zmęczenia przekracza realne możliwości człowieka, poziom trudności kolejnych zadań nie maleje. Ewakuacja ранnego i udzielenie mu pomocy medycznej, przeprowadzenie ataku oskrzydającego, składanie broni w reżimie czasowym to tylko niektóre z nich. Do tego bieg z pontonem, przenoszenie drewnianych bali, wchodzenie do lodowatego morza, a wszystko przy nieustannych wybuchach, strzałach i krzykach instruktorów. W nocy żołnierze prowadzą obserwację i rekonesans, organizują zasadzki w lesie. Dopiero rano mają minimum czasu na regenerację.

Już po dwóch dobach kandydaci są w fazie totalnego wyczerpania fizycznego, w której realizują kolejne zadania, bazując na sile umysłu



i odporności psychicznej, bo podczas „Hell Weeka” kondycja i siła to nie wszystko, tak naprawdę najważniejsza jest głowa i działanie zespołowe.

Z warszawskim oddziałem specjalnym chętnie wymieniają doświadczenia jednostki z zagranicy, jak RAID czy SEK. Co żołnierzom OSŻW daje taka współpraca? Czy planowane jest rozwinięcie współpracy z innymi jednostkami?

Żołnierze OSŻW w Warszawie niejednokrotnie ćwiczyli z przedstawicielami policyjnych jednostek specjalnych, tj. należącym do niemieckiej policji Spezialeinsatzkommando (SEK) czy francuskimi „Czarnymi Panterami” z RAID. Wybór nie powinien dziwić, bo to najbardziej renomowane jednostki w Europie, które od momentu powstania reagują na najpoważniejsze zagrożenia ze strony ugrupowań terrorystycznych, zorganizowanych grup przestępczych i szczególnie niebezpiecznych przestępców na terytorium Francji i Niemiec.

Zależy nam, aby szkolić się z praktykami. Ludźmi, którzy mają doświadczenie w zwalczaniu współczesnego terroryzmu. Takiej wiedzy i umiejętności nie zdobędziemy, kolejny raz analizując na przykład akcję w Magdalence, która miała miejsce w 2003 roku. Dziś takie operacje wyglądają zupełnie inaczej – Niemcy oraz Francuzi wiedzą to z własnego doświadczenia. Właśnie na tej wiedzy nam zależy.

Należy dodać, że RAID nie jest jedyną jednostką francuską, z którą współpracują warszawscy specjaliści. Wspólne przedsięwzięcia szkoleniowe od wielu lat prowadzą również z francuskimi odpowiednikami w obszarze działań Close Protection. Są otwarci na współpracę z każdą jednostką czy formacją wykonującą zadania o podobnym przeznaczeniu, bo jako praktycy wiedzą, że jest to jedyna metoda wymiany doświadczeń i przygotowania się na każdy wariant zagrożenia.

W ostatnich latach obserwujemy znaczną modernizację i rozwój OSŻW w Warszawie. Z czego wynika na przykład, że żandarmi z Mińska Mazowieckiego mają na wyposażeniu Beryle i MSBS Grot, natomiast w Warszawie – H&K 416?

Zdolność bojowa danej jednostki do wykonywania zadań, w tym przypadku ustawowych, to trzy filary: odpowiednio dostosowane siły i środki oraz wyszkolenie, tworzące system naczyń połączonych. Zadania, jakie na przestrzeni kilkunastu lat narzucił warszawskiemu oddziałowi specjalnemu ustawodawca, zdefiniowały potrzeby w zakresie zmian etatowych, sprzętowych, jak i podejścia do procesu szkolenia. Wszystkie te zmiany miały i mają na celu stworzenie nowoczesnej i wyspecjalizowanej jednostki Żandarmerii Wojskowej,



zdolnej do przeciwdziałania oraz neutralizacji zagrożeń o charakterze lokalnym i globalnym.

Szczególnie zadania, jakie nałożono na OSŻW w Warszawie po 2015 roku, na mocy zapisów Narodowego Programu Antyterrorystycznego na lata 2015–2019 oraz Ustawy o działaniach antyterrorystycznych z 2016 roku, wygenerowały potrzebę szybkiej modernizacji wyposażonego już wyposażenia i uzbrojenia żołnierzy.

W związku z powyższym w 2016 roku zdecydowano się na wyposażenie żołnierzy w sprzęt adekwatny do realizowanych zadań. Wybór padł na H&K 416, czyli na jednostkę broni, która w tamtym czasie była najnowocześniejsza i sprawdzona przez inne jednostki specjalne na całym świecie oraz nasze rodzime jednostki Wojsk Specjalnych.

Dało to gwarancję niezawodności uzbrojenia podczas działania w różnym środowisku. Ponadto konstrukcja H&K 416 dzięki systemowi wymiennych luf (krótka, długa) oraz różnym wariantom doposażenia w zaawansowany osprzęt celowniczy pozwalała na dowolną i szybką konfigurację sprzętu adekwatnie do potrzeb danego zadania – dzień, noc, teren otwarty, budynki itd.

Jednocześnie wspomniane Beryle oraz MSBS Grot wspaniale sprawdzają się w OSŻW w Mińsku Mazowieckim z uwagi na odmienny zakres zadań realizowanych przez jednostkę, która przeznaczona jest m.in. do zabezpieczenia działań realizowanych przez OSŻW w Warszawie. Należy podkreślić również, że jesteśmy niejako w pierwszej fazie wykorzystywania karabinka MSBS Grot i wciąż poznajemy możliwości tej broni w trakcie szkoleń i codziennej służby.

Żołnierze Żandarmerii Wojskowej biorą aktywny udział w misjach zagranicznych, między innymi w Afryce i Afganistanie. Jakie zadania wykonują tam żandarmi?

Żandarmeria Wojskowa od czasu sformowania, czyli już 3 dekady, nieprzerwanie wydziela żołnierzy do polskich kontyngentów wojskowych. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że żołnierze ŻW służyli na całym świecie, bo oprócz wymienionych przez Pana Redaktora misji, żandarmi realizowali lub nadal realizują zadania w Libanie, Iraku, Syrii, Bośni i Hercegowinie, Kosowie, Kongu, Czadzie, Republice Środkowoafrykańskiej, Gruzji, Kuwejcie, Łotwie, Rumunii itd. Żandarmi w misjach i operacjach poza granicami państwa pełnią służbę w strukturach narodowych jako wydziały, sekcje ŻW i obserwatorzy,

elementy wydzielane do wielonarodowych pododdziałów policji wojskowej, elementy szkoleniowe i doradcze oraz tworząc samodzielne kontyngenty w ramach operacji wielonarodowych.

Zaangażowanie formacji na przestrzeni ostatnich 30 lat zmieniło się – w latach 1990–2001 wynosiło zaledwie 50 żołnierzy, siedem lat później, w 2008 roku Żandarmeria Wojskowa wysłała w rejon misji 740 żołnierzy w składzie: PKW UNIFIL w Libanie, PKW UNDOF w Syrii, PKW ISAF w Afganistanie, PKW KFOR w Kosowie, PKW EUFOR w Bośni i Hercegowinie, PKW w Iraku, PKW w Czadzie, PKW ORLIK oraz Grupy Obserwatorów w Gruzji.

W tym miejscu warto powiedzieć kilka słów o misji w Afganistanie. Początkowo wydzielaliśmy do składu PKW Wydział ŻW, który realizował zadania stricte żandarmskie. Z czasem Żandarmerii Wojskowej powierzono misję wyszkolenia afgańskiej policji. Zadanie to żandarmi realizowali w strukturach o charakterze szkoleniowo-doradczym, takich jak Police Operational Mentor and Liaison Teams (POMLTs), Police Advisory Teams (PATs) oraz Zespoły Specjalistów do Centrów/Ośrodków Szkolenia. Najwyższe zaangażowanie w ramach PKW ISAF w Afganistanie ŻW osiągnęła w roku 2011, kierując jednorazowo w rejon misji ponad 240 żołnierzy.

W zeszłym roku powierzono nam nowe zadanie. Żandarmeria Wojskowa, na podstawie porozumienia Ministra Obrony Narodowej i Ministra Spraw Zagranicznych podpisanego 18 stycznia 2019 roku, realizuje ochronę fizyczną placówek zagranicznych RP i personelu dyplomatyczno-konsularnego znajdujących się w miejscach stacjonowania Polskich Kontyngentów Wojskowych.

Czy była jakaś operacja zagraniczna, którą uważa Pan za największy sukces żołnierzy Żandarmerii Wojskowej?

Trudno wytypować konkretną – myślę, że warto pochwalić się misją w Demokratycznej Republice Konga. Była to operacja Unii Europejskiej, której zadaniem było zabezpieczenie prawidłowego przebiegu pierwszych od wielu lat wolnych wyborów parlamentarnych i prezydenckich w Demokratycznej Republice Konga w 2006 roku. Polski kontyngent wojskowy po raz pierwszy prawie w całości wystawiła wówczas Żandarmeria Wojskowa. Dodać należy, że zrobiła to w ekspresowym tempie, bo pełną gotowość operacyjną kontyngent osiągnął w lipcu 2006 roku, czyli w niespełna cztery miesiące po podjęciu decyzji przez Ministra Obrony Narodowej. Jego trzon stanowili żołnierze z Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Gliwicach i Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Warszawie. Zadaniem polskich żandarmów była ochrona Dowództwa Sił Międzynarodowych oraz lotnisk N'Dolo i N'Djili w Kinszasie, zapewnienie bezpieczeństwa personelowi ONZ i UE oraz współpraca z misją policyjną EUPOL.

Co daje żołnierzom udział w misjach zagranicznych?

Zdobywają bezcenne doświadczenie, potwierdzają umiejętności zdobyte w kraju, uczą się pracować w trudnych warunkach misyjnych, mają możliwość współpracy z kolegami z innych państw. Po 30 latach służby w polskich kontyngentach wojskowych wracający z misji żandarmi podkreślają, że są równorzędnymi partnerami dla policjantów wojskowych z całego świata. Wysoki poziom wyszkolenia, nowoczesny sprzęt specjalistyczny, znajomość języka angielskiego i determinacja sprawiają, że żandarmi bez kompleksów ramie w ramie z kolegami z innych krajów realizują zadania mandatowe. Udowodnili to chociażby w 2014 roku, kiedy to w ramach zaangażowania w EUROGENDFOR (Europejskie Siły Żandarmerii) Żandarmeria Wojskowa samodzielnie sformowała Polski Kontyngent Wojskowy



w Republice Środkowoafrykańskiej (RŚA). Główny filar kontyngentu tworzył pluton manewrowy wystawiony przez Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim. Wchodził on w skład Wielonarodowej Kompanii Policji (IPU), będącej częścią kontyngentu Europejskich Sił Żandarmerii. Podczas 8-miesięcznej służby w stolicy RŚA Bangui polscy żandarmi razem z Francuzami i Hiszpanami patrolowali teren odpowiedzialności, organizowali punkty kontrolne, pełnili dyżury w ramach Sił Szybkiego Reagowania, ochraniali zagrożone przez rebeliantów obozy uchodźców oraz szkolili miejscowych policjantów. Nasze zaangażowanie zostało bardzo wysoko ocenione przez EUROGENDFOR.

Żandarmeria Wojskowa należy do formacji o charakterze policyjnym tworzących Europejskie Siły Żandarmerii.

Tak Panie Redaktorze, Żandarmeria Wojskowa od momentu sformowania prowadzi ożywioną aktywność na arenie międzynarodowej. Jednym z efektów tej działalności jest uzyskanie w 2015 roku pełnoprawnego członkostwa Europejskich Sił Żandarmerii. Poza polską Żandarmerią Wojskową pełnoprawnymi członkami EUROGENDFOR są: Francja, Włochy, Hiszpania, Holandia, Portugalia i Rumunia, ponadto status partnera posiada Litwa, a status obserwatora – Turcja. Europejskie Siły Żandarmerii są organizacją pozostającą w dyspozycji Unii Europejskiej, ale mogą także działać pod auspicjami ONZ, OBWE, NATO lub koalicji państw. Jej podstawowym zadaniem jest wypełnianie funkcji policji wojskowej na szczeblu ponadnarodowym, szczególnie w sytuacji kryzysów międzynarodowych.

Funkcje kontrolne nad Stałym Dowództwem EUROGENDFOR sprawuje Komitet Sterujący Wysokiego Szczebla (CIMIN). Jego członkami są (w zależności od państwa) przedstawiciele ministerstw spraw zagranicznych, wewnętrznych lub obrony. W grudniu 2020 roku przewodnictwo w tym Komitecie obejmie Polska.

Gratuluje tego wyróżnienia.

Dziękuję. To nie jedyny projekt międzynarodowy, którym możemy się poszczycić. 12 czerwca 2007 roku został powołany Wielonarodowy Batalion Policji Wojskowej NATO. Tworzą go komponenty policji wojskowych Czech, Słowacji, Chorwacji oraz polska Żandarmeria Wojskowa, która odgrywa rolę państwa ramowego. Wielonarodowa jednostka MP przygotowana jest do funkcjonowania w strukturze dowodzenia NATO i zapewnienia wsparcia policyjnego na szczeblu taktycznym na korzyść jednostek operacyjnych.



W grudniu 2018 roku wpłynęło oficjalne pismo z Ministerstwa Obrony Gruzji wyrażające chęć przystąpienia tej nacji do Wielonarodowego Batalionu Policji Wojskowej NATO. Wszyscy członkowie Batalionu wyrazili zgodę na przystąpienie Gruzji jako państwa partnera. Oficjalne podpisanie dokumentu akcesyjnego planowane było na koniec kwietnia 2020 roku w Tbilisi, lecz ze względu na epidemię COVID-19 przedsięwzięcie zostało przełożone na grudzień 2020 roku.

Warto przypomnieć również, że dzięki staraniom Żandarmerii Wojskowej w 2012 roku powstało w Bydgoszczy Centrum Eksperckie Policji Wojskowych NATO (NATO MP COE). Centrum jest międzynarodową organizacją wojskową merytorycznie podlegającą Sojusznictwu Dowództwu Transformacji w Norfolk. Jednostka zajmuje się szkoleniem na szczeblu strategicznym i operacyjnym, prowadzeniem analiz i upowszechnianiem wniosków, wypracowywaniem koncepcji, jak również przeprowadzaniem eksperymentów, rozwijaniem doktryn oraz interoperacyjności policji wojskowych i żandarmerii państw NATO. Przygotowuje też policjantów wojskowych i żandarmów do udziału w misjach zagranicznych.

Widok Żandarmerii Wojskowej na ulicach polskich miast i miasteczek to coraz powszechniejszy widok, jeszcze częściej widoczne są mieszane patrole policyjno-żandarmskie. Na czym polega ta współpraca?

Żandarmeria Wojskowa, realizując zadania ustawowe, współdziała ze Służbą Kontrwywiadu Wojskowego, Służbą Wywiadu Wojskowego, wojskowymi organami porządkowymi oraz dowódcami jednostek wojskowych i dowódcami (komendantami) garnizonów. W sprawach bezpieczeństwa i porządku publicznego Żandarmeria Wojskowa współdziała z polskimi i zagranicznymi organami i służbami właściwymi w tym zakresie, w tym m.in. z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Centralnym Biurem Antykorupcyjnym, Strażą Graniczną, Krajową Administracją Skarbową, Służbą Ochrony Państwa itd.

Jednak, jak Pan Redaktor zauważył, najbardziej widoczna jest nasza współpraca z Policją. Żandarmeria Wojskowa realizowana jest na podstawie Ustawy o Żandarmerii Wojskowej i wojskowych organach porządkowych oraz porozumienia Komendanta Głównego ŻW i Komendanta Głównego Policji o współdziałaniu Żandarmerii Wojskowej i Policji.

Policyjno-żandarmiska współpraca polega między innymi na stałej wymianie informacji o zagrożeniach występujących na określonym

terenach, organizowaniu i prowadzeniu wspólnych działań porządkowych w celu zapewnienia spokoju i porządku w miejscach zgromadzeń i imprez masowych, współpracy przy zabezpieczeniu miejsc przestępstw, udzielaniu, w miarę potrzeb, pomocy przy doprowadzeniu sprawców przestępstw i wykroczeń do właściwych organów, funkcjonowaniu wspólnych grup operacyjno-rozpoznawczych itd.

Specjalne uprawnienia nadano Żandarmerii Wojskowej w art. 18a ustawy z dnia 6 kwietnia 1990 r. o Policji, gdzie ŻW jest wymieniona jako formacja, która może być użyta niezależnie od reszty Sił Zbrojnych RP do udzielania wsparcia Policji w sytuacjach zagrożenia bezpieczeństwa i porządku publicznego. W ostatnim dziesięcioleciu Żandarmeria Wojskowa miała nadawane uprawnienia policyjne aż 19

razy – między innymi podczas wspomnianych wcześniej przedsięwzięć.

Służbę w Żandarmerii Wojskowej rozpoczął Pan Generał w 2004 roku. Był Pan komendantem obu oddziałów specjalnych, teraz dowodzi Pan całą formacją. Które stanowisko w swojej karierze wspomina Pan najlepiej?

Tak, służyłem w Żandarmerii Wojskowej od ponad 16 lat. Rozpocząłem w Zarządzie Prewencji Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej, gdzie objąłem stanowisko specjalisty. Następnie byłem szefem Wydziału Dowodzenia w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim, szefem Sztabu w Oddziale Żandarmerii Wojskowej w Elblągu, starszym specjalistą w Sztabie Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej, zastępcą komendanta Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Warszawie, a następnie komendantem Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim. Od 2014 roku służyłem na stanowisku komendanta Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Warszawie... Teraz już piąty rok dowodzę formacją... Każde stanowisko było dla mnie wyzwaniem, które podejmowałem ze stuprocentowym zaangażowaniem. Zawsze byłem wymagający względem siebie i swoich podwładnych. Nie tolerowałem pracy „na pół gwizdka” i braku profesjonalizmu. Na każdym kolejnym stanowisku zdobywałem wiedzę i doświadczenie, dzięki któremu dziś mogę z sukcesem dowodzić Żandarmerią Wojskową.

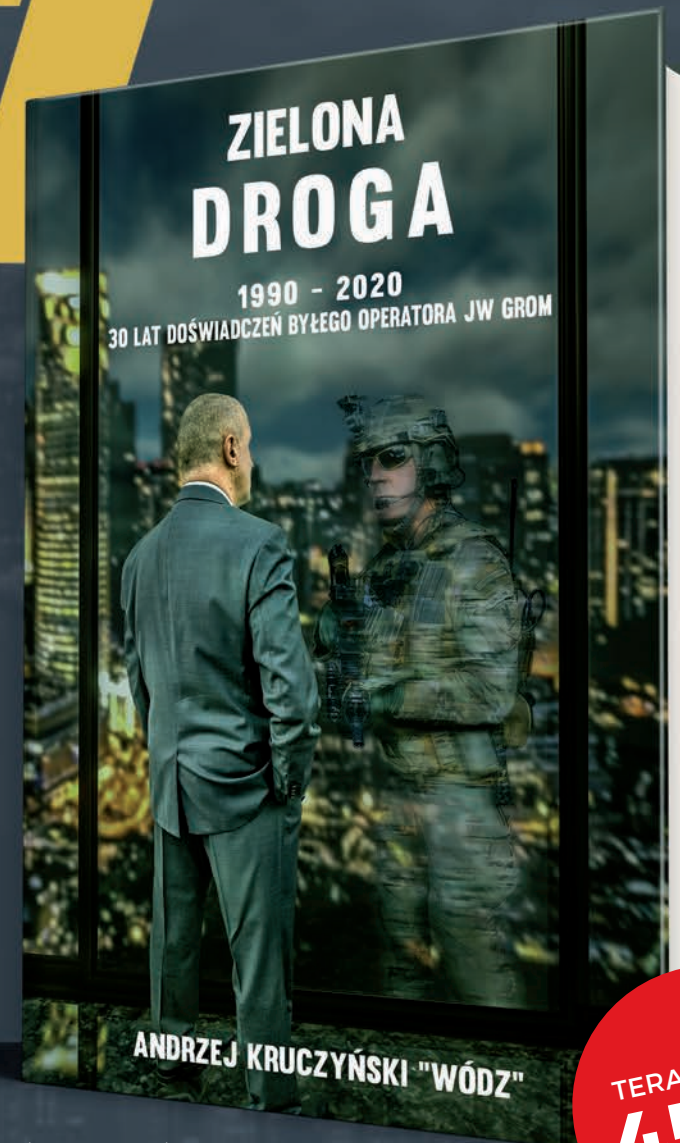
Czego możemy życzyć Panu i całej Żandarmerii Wojskowej na kolejne 30 lat?

Tego, czego zawsze życzę żołnierzom i pracownikom Żandarmerii Wojskowej: satysfakcji i zadowolenia ze służby w formacji, realizacji obranych celów, uznania wszystkich, z którymi i dla których pracujemy. Życzę spokojnej i bezpiecznej służby oraz przystoiwego żołnierskiego szczęścia. Życzę również zdrowia, powodzenia i szczęścia w życiu prywatnym, bo zdrowie i wsparcie rodziny są najważniejsze.

Kończąc, chciałbym powiedzieć, że każdy jubileusz jest świetną okazją do spojrzenia wstecz i podsumowania dotychczasowych osiągnięć. Jednak w naszym przypadku, choć wiem, jak ważna jest ewaluacja, priorytetem jest patrzenie w przyszłość. Jesteśmy gotowi na nowe wyzwania i zadania, bo współczesna Żandarmeria Wojskowa patrzy w przyszłość z optymizmem.

Dziękujemy za rozmowę.

SPECIAL OPS



ANDRZEJ KRUCZYŃSKI „WÓDZ”

ZIELONA DROGA

1990-2020
30 LAT DOŚWIADCZEŃ BYŁEGO OPERATORA JW GROM

TERAZ TYLKO
45 zł

„Pomysł napisania niniejszej książki zrodził się z chęci przekazania swojego życiowego doświadczenia, zdobytego podczas służby w jednostce specjalnej oraz pracy na Stadionie Narodowym w Warszawie.

„Zielona droga” to połączenie niesamowitych doświadczeń z JW GROM, jak również nabytych podczas przygotowań oraz samego turnieju Euro 2012.

Służąc w JW 2305, miałem okazję spotkać wielu wspaniałych pasjonatów, którzy w 100% poświęcali się treningowi, a w późniejszej fazie zadaniom bojowym. Po kilkunastu latach w GROM-ie, odchodząc na emeryturę, nie spodziewałem się, że również w cywilu spotkam ludzi ogromnie zaangażowanych w to, co robią. Przykładem tego był zespół nadzorujący budowę Stadionu Narodowego, przygotowujący Euro 2012 oraz zabezpieczający ten turniej. Lata spędzone podczas wspólnej służby i pracy zaowocowały wieloma przyjaźniami, które trwają do dziś. Tak jak z koleżankami i kolegami z jednostki spotykamy się kilka razy w roku przy okazji różnych wydarzeń, tak samo staramy się podtrzymać tradycję spotkań z zespołem Narodowego Centrum Sportu”.

SPECIAL OPS

KSIEGARNIA
MILITARNIA.COM.PL

ZAMÓWIENIA: KSIEGARNIAMILITARNIA.COM.PL

